

**SYROP Z KOCIMIĘTKI**  
(ZASŁONY I ŻYWIOŁY: MONODRAM)

**«Książki Duma Lublina»**

**Lubelska Biblioteka**

**Stowarzyszenia Pisarzy Polskich**

Tom 11

Redaktor serii

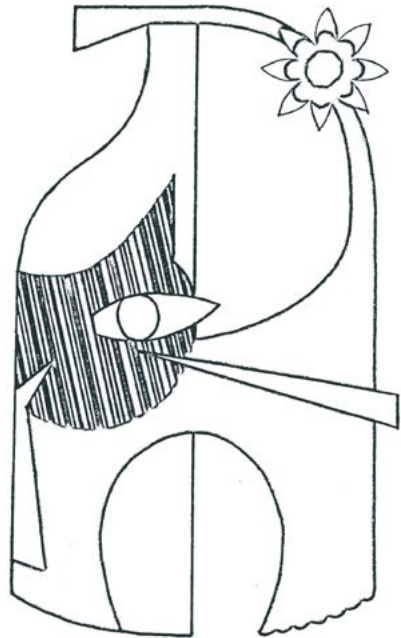
Zbigniew Włodzimierz Fronczek

Lublin 2020

Wojciech Pestka

# SYROP Z KOCIMIĘTKI

(ZASŁONY I ŻYWIOŁY: MONODRAM)



Stowarzyszenie Pisarzy Polskich  
Lublin 2020



*Ja wam przyszyłem fałszywe epolety  
przebrzmiałych godności  
i ja wam je zrywam!*

Sławomir Mrożek *Tango*



# ŻASŁONA CIEMNOŚCI





*Monolog jest wygłaszany na zewnątrz pomieszczenia (za drzwiami) i tam rozgrywa się właściwa akcja tego aktu, w pomieszczeniu ciemności, od czasu do czasu delikatna poświata o kształcie prostokąta przebijająca przez grubą storę sygnalizuje, że w pomieszczeniu znajduje się okno, a panujące na zewnątrz ciemności rozświetlane są w nieregularnych odstępach światłem reflektora.*

*Odgłosy towarzyszące pozwalają na odtworzenie wydarzeń rozgrywających się na zewnątrz.*

*Męski śpiew dochodzący zza drzwi.*

„Chłopcy, dziewczęta, dalej spieszmy się, karuzela czeka, woła nas z daleka, starsi już poszli, a młodsi jeszcze nie...”

No co jest?

*Powtarzające się dwa krótkie gwizdnięcia na palcach.*

Bawimy się, bawimy się, bo jutro to już będzie za późno...

*Szept.*

No, jak jest, dziewczynki? Panowie się za wami oglądają.

*Szczekanie, które przechodzi w zawodzenie.*

To psy, taka ich robota. Pomachamy panom rączkami i grzecznie idziemy za tatusiem.

„Karuzela czeka, woła nas z daleka...”

*Chichot. Szept.*

Gdyby panowie wiedzieli, co chodzi nam po głowie... Na tym ta ich robota polega, żeby wiedzieć... Ale pozory, nie ma ludzi wszechwiedzących.

*Głośne cmokanie. Odgłosy upadku i szamotanina.*

I co my tu mamy? Niedobra dziewczynka podstawiła tatusiowi nóżkę. Panowie mieli ubaw. A nóżka mogła się urwać! Tatuś spuścił łanie na goły tyłeczek. Tatuś nie ma litości dla niegrzecznych dziewczynek.

*Stękanie mężczyzny dźwigającego się z wysiłkiem na nogi, odgłosy uderzeń o siebie twardych plastikowych przedmiotów pustych w środku.*

Ale prawdziwe nieszczęście człowieka to diabeł: kto go nie spotkał, może z uśmiechem na ustach patrzeć śmierci w twarz. Nie miałem takiego fartu, a wiadomo, diabeł to diabeł – nikomu nie daruje. Wszyscy błazenada, błazenada, a to najszczęstsza prawda.

*Odgłosy szurania, przemieszczania się, moszczenia się za drzwiami.*

Tatuś musi odpocząć, zebrać siły. Szykuje się nocna rozpierducha, tatuś musi trzymać formę, oszczędzać się, to już nie te czasy. A z diabłem to albo-albo. Będzie co będzie. Zawiadomienie złożę o popełnieniu przestępstwa. Złożę, jak tu siedzę, żebym nie wstał.

*Sapanie, odgłosy pochrapywania, które nagle się urywają, jakby mężczyzna się obudził i podjął monolog.*

I napiszę, że podpisany z imienia i nazwiska, syn Michaliny z domu... i tak dalej, no właśnie Pszonka, urodzony 1 kwietnia 1942 roku w szpitalu Lubartowska 81, zamieszkały na stałe w Lublinie, składa zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Dokładnie tak. I żeby nie wiem co – nie zaprę się, jak ten... no.

*Trzykrotne uderzenie pięścią w drzwi.*

Żeby to diabeł wiedział. Ja Antoni Glut, syn Michaliny... to już było, no więc, zanim upomni się o mnie kostucha... Glut to śmieszne? Mnie to rusza, dla mnie mało śmieszne, a żyję z tym tyle lat, powinienem przywyknąć. Ale na ten przykład pogrzeb, wszyscy żalują i po mnie płaczą, a ksiądz...

*Odgłosy stękania, ocierania się o drzwi, przytrzymywania, teatralnym głosem naśladującym kapłana podczas ceremonii pogrzebu.*

– Ze smutkiem i płaczem żegnamy na ziemskim łożu padole naszego drogiego brata Gluta – zakryje twarz ręką, a może sięgnie po chusteczkę i wysmarka nos – i powierzamy opiece naszego Ojca, Boga Najwyższego, pełni ufności módlmy się w jego intencji, prosząc o wieczny odpoczynek dla naszego brata Antoniego.

*Chichot.*

Ha-ha-ha! I tylko mnie nie będzie do śmiechu.

*Szuranie butów o wycieraczkę.*

Chyba nikt, poza grabarzami i może kimś odpowiedzialnym z urzędu, nie będzie mnie odprowadzał na tamten świat, a grabarzom i tak wszystko obojętne i byle co może ich rozśmieszyć do łez...

Potraktujmy rzecz fizjologicznie... Panie pozwolą, że sobie ulżę, załatwię mały interesik, oddcę kartofelki...

*Odgłosy oddawania moczu.*

Pardon, pardon, co złego to oni, nie ja.

*Intonowana niewprawnym głosem pogrzebowa pieśń.*

„Pouracasz w ziemię, co matką twą była/ Teraz cię strawi, niedawno żywiła/ Tak droga każ-

da/ którą nas świat wodzi/ Na ten ubity gościniec wychodzi...” – tatuś mój Jakub, świętej pamięci, nie pozwalał ze śmierci żartować, był zakrystianem w świętym Wojciechu. Cmentarz był na dołku, w środku lata podchodziła podskórna woda, ojciec wiertłem stolarskim dziury w trumnie ze spodu wiercił, żeby nie wypływały. To były, że tak powiem, moje najlepsze czasy.

*Odgłosy łkania zza drzwi.*

Sam zostałem, wszyscy są obecnie nieżyjący. Taki los mój czarny, taka sprawiedliwość!

Tatko i mamusia wywodzą się z Liśnika, parafia Gościeradów, tam ich ksiądz węzłem dozgonnym związał. Pięć miesięcy po ślubie urodziła się moja siostra Marcyjanna, a dwa lata po niej Mściśław. Tatko zapoznał się w Lublinie z proboszczem z ulicy Podwale, dostał u zakonników pracę kościelną i mieszkanie przy klasztorze. Moja siostra Anielcia urodziła się na Boże Narodzenie w 1936 roku, została ochrzczona u świętego Wojciecha. W tym samym kościele był chrzczony mój brat Jonasz, który urodził się dokładnie z pierwszym dniem wojny we wrześniu 1939 roku. Ja też byłem chrzczony u świętego Wojciecha, tak jak moje rodzeństwo. Lekarza, który przyjął poród, tego samego dnia wieczorem rozstrzelali Niemcy. Był Żydem. To wszystko wiem od babci Rozalii. Ona pierwsza odeszła z tego świata. Miasto było dla niej jak koszmarny sen, zmora, siadło jej na piersiach.

*Uderzenie łokciem w drzwi, stłumione przekleństwo.*

...a niech to szlag i światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki wieków. Prawdę mówiąc, to rano ojciec znalazł ją martwą w przedpokoju. Leżała wśród rozstawionych na podłodze słoików. Podczas sekcji w żołądku znaleźli trutkę na szczury.

*Odgłosy moszczenia się pod drzwiami.*

Ale co panie mogą o tym wiedzieć. Jak się nie ma serca, trudno zrozumieć... Raz milicja zrobiła zasadzkę na złodziei na Starym Mieście, doszło do strzelaniny, jakaś odbita kula trafiła w rękę Marcysię. Rana się wygoiła, ale ręka zaczęła schnąć, zamiast za mąż Marcysia poszła do urszulanek, chociaż i tam krzywo na nią patrzono, że bez należytego posagu. Anielcia po tym wszystkim, co przytrafiło się Marcysi poszła w tango, została hotelową prostytutką i miała pół miasta pod stopami. Obie moje siostrzyczki skończyły źle: Marcysia utopiła się w zakonnej studni z braku miłości, Aniela z nadmiaru miłości rzuciła się pod pociąg. Pewnie teraz z wysoka patrzą na mnie. Bóg, jeśli jest, wybaczy im i pocieszy.

*Odgłosy spazmatycznego szlochania.*

Nic nie pamiętam, nic nie pamiętam, nawet dziadków nie znam, nigdy u nich nie byłem. Ojciec i mamusia o wsi nie rozmawiali. A teraz kto mi powie? Wszyscy oni opuścili ten świat. Sam jeden zostałem żyjący. Jakby rany rozdrapał i solą sypał.

*Odgłos smarkania, wycierania nosa.*

Jedyne, czego się dorobiłem to garbu. Za całe życie, tę harówkę i poniewierkę, pokój na zapleczu... Łóżko żelazne przedwojennej konstrukcji

Konrad & Jarnuszkiewicz i spółka Towarzystwa Akcyjnego Wyrobów Metalowych z ramą sprężynową, materacem z końskiego włosia... Trzydrzwiowa szafa na wysoki połysk, piec kaflowy w kącie... Tak się dorobiłem. Byłem górą, wszystkiego miałem dostatek, a teraz pod wozem... nie życie.

### *Chichotanie.*

Dziewczynki, coś śmiesznego powiem. Trudno uwierzyć, ale w pokoju na szafie mam książek po suficie. Taka jedna kierowniczką księgarni z Szopna zaopatrywała mnie, jak to nazywała, w „białe kruki”. Całe jej życie to było jedno, w pięćdziesiątym czwartym wręczała kwiaty Bierutowi podczas akademii z okazji rocznicy PKWN, a on ją pocałował. Nic więcej się dla niej nie liczyło, tylko książki i Bierut, Bierut i książki...

Takie to się zdarzają cuda i cudenka...

A Żydzi? Co z Żydami? W trzydziestym dwiętym musiała wynajmować piwnicę w kamienicy na skład żydowska drukarnia, całe paczki ulotek zostały. „Organizacja Syjonistyczna w Lublinie urządza w środę 28 bieżącego miesiąca w lokalu Lubartowska 24 uroczysty wieczór chanukowy połączony z koncertem, referatem, śpiewami, pocztą i confetti. Na zakończenie tańce. Początek o godzinie 8.30 wieczorem”. Tańce to coś dla pań, dziewczynki to lubią. Ale mam coś jeszcze lepszego. „W sobotę 15 stycznia o godzinie 8 wieczorem odbędzie się odczyt znanego publicysty i znakomitego mówcy Gliksmana na temat WIECZNA TAJEMNICA K O B I E T Y. Towarzystwo Kursów

Wieczorowych dla Robotników w Warszawie Oddział w Lublinie. Sala Teatru „NOWOŚCI” ul. Szpitalna Nr 11”. Z pamięci mówię.

Tak dziewczynki, tajemnica kobiety, sam bym lepiej tego nie ujął. Macie swoje sekrety, ja to wiem, bo niby kto miałby wiedzieć. Albo inne...

*Senne mamrotanie.*

Byli Żydzi – nie ma Żydów. Jest Antoni Glut – nie będzie Antoniego Gluta. Muszę się zdrzemnąć. *Ciszę, która zapadła, nagle przerywa krzyk, odgłosy szamotaniny, kopania, uderzeń, jednym słowem – odgłosy walki.*

A-aa! Na pomoc! Jakaś zmora piekielna. Diabeł się na mnie rzucił i to nie był sen. Chwycił mnie za nogi i ciągnął do piekła. Tchu nie mogę złapać. Serce mi łomocze ze strachu. Cały jestem w nerwach, chyba but mi ukradł. Ubranie wyświnił.

*Słysząc odgłosy porządkowania, otrzepywania garderoby.*

Jest but. Moje dziewczynki. Gdyby... nie chcę o tym myśleć! Bogu dzięki. Pokrzyżowaliśmy mu plany.

*Odgłosy sadowienia się przed drzwiami.*

To długa, długa historia. Byłem wtedy młody, czasy były inne. Może i gorsze niż teraz, ale jakie to ma znaczenie dla młodości. Inne ważne rzeczy zapomniałem, a to jakby było wczoraj: pamiętam. Przyszedł kilka minut po pierwszej. Zdążyłem już wywiesić na drzwiach wejściowych tabliczkę „Przerwa obiadowa”. Wspominam o tym, wtedy posłużyłem się tą tabliczką po raz pierwszy. Kupiłem ją, idąc do pracy, pod sklepem spożywczym za butelkę wina. Była zrobiona porządnie

z masywnej blachy pokrytej białą emalią. Dzisiaj takich nie robią. Litera miała koloru granatowego. Można jej było używać na dwie strony. Z tyłu miała napis „Zakład nieczynny”. Wyglądała solidnie. Do tej pory używaliśmy wywieszki z tektury z pudełka po butach z napisem zrobionym odręcznie. Szykowałem się wtedy powoli do wyjścia. Patrząc w lustro poprawiłem kołnierz prochowca, przyjrzałem się sobie. Nie wyglądałem źle, ale daleko było mi do urody filmowych amantów. Tyle tylko, że w młodości to nie ma żadnego znaczenia. W każdym razie nie byłem podobny ani do ojca, ani do matki. Sięgałem do wieszaka po kapełusz. Obnosiłem się wtedy z brązową fedorą z czystej, angielskiej, owczej wełny z czerwoną satynową podszewką.

*Operowy śpiew na modłę włoskich tenorów, finałowa fraza.*

Fedora, ach fedora, królem mody w młodości byłem ja....

*Wzdychanie.*

Lubiłem te krótkie spacerunki w południe pomiędzy Bramą Krakowską a Placem Litewskim. Patrzyłem na ludzi na chodniku z góry, jak ktoś z lepszego świata.

Przyciągałem do siebie uwagę rozchichotanych ślicznotek. Prowokowało je zimne spojrzenie, jakim taksowałem ich wdzięki. Rozbierałem je wzrokiem. Proporcja, harmonia kształtów równa się miara i wdzięk: obwód bioder, wcięcie w tali, szerokość ramion, obwód w białej... Takie były czasy. Były, były, ale się zmyły. Trudno w to



uwierzyć dziewczynki, kiedy patrzy się dziś na tatusia. Trudno uwierzyć.

*Szuranie nogą, brzęk tłuczonego szkła.*

Szczury. A to bestie. Człowieka ciekawe, nie boją się. Niedługo by na głowę wlażyły. No więc wszedł, drzewi uderzyły o ścianę. Przerwa na obiad – powiedziałem, nie odwracając głowy. Moje napomnienie nie zrobiło na nim wrażenia. Siadł na miejscu dla klientów. Czarną, wytartą skórzaną maciejówkę chwilę miętosił w rękach zanim z wahaniem położył na stoliku. Odchylił się i oparł plecami o krzesło. Od razu zauważyłem, że wszystko ma robione na miarę. Nic z gotowizny, jaką handlowali w sklepach. Spodnie z najlepszej bielejkiej wełny, którą sprzedawano na kupony. Czarne półbuty z delikatnej prawdziwej skóry robione na obstalunek z grubą, elastyczną podeszwą, jak wtedy mówiono – na podwójnej słoninie. Kurtka z grubej, wypastowanej do połysku, czarnej skóry sięgała mu do bioder. Miała dwie kieszonki na dokumenty na piersiach i była zapinana na gruby, mosiężny zamek błyskawiczny. Szeroki pas dołem od przodu kończył się zatrzaskową klamrą. Kiedy siadł i nie rozsunął suwaka, kurtka zachodziła mu na szyję i brodę. Być może takie przebranie na tajniaka pasowało do lat pięćdziesiątych, ale w latach siedemdziesiątych było czystą fanaberią. Chcę dodać, że wtedy i później za każdym razem, kiedy dochodziło do naszego spotkania, zachowywał się jak aktor na scenie.

*Kłaskanie.*

Dziewczynki, tego nie da się zgadnąć. Poklepał się po polach skórzanej kurtki, wyciągnął z kieszeni czarne zniszczone etui, druciane okulary z okrągłymi szklami wsadził na nos i wydeklamował – zatem może co powiesz?

Tak to ujął. Jakbym to ja miał się tłumaczyć przed nim. Ni przypiął, ni przyłatał. Takie właśnie były jego pierwsze słowa.

*Teatralny śmiech.*

Dobre pytanie. Dobre. Mętna sprawa jak woda w bajorze. Z tego co pamiętam, ojciec był starszy od niego o jakieś piętnaście lat. Rozmawiali jak równy z równym. Protestował, ale nikomu obywatelu czy towarzyszowi nie przechodziło przez gardło. Ojciec wymagał, by wszyscy mówili do niego pan Bolesław. I tyle. Mieszkaliśmy wtedy w pałacu, tak nazywano naszą kamienicę, a tam nawet normalnej toalety w środku nie było. Piwnice były, nie powiem, można było szukać skarbów, bawić się, palić papierosy... Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze od podwórka, mieliśmy kran i stalowy zlewozmywak w kuchni. Pod nami znajdował się magazyn sklepu żelaznego. Szerokie, obite blachą, zamykane na żelazną sztabę drzwi otwierano, kiedy była dostawa towaru, na podwórko przez bramę wjeżdżała furmanka i wnoszono do środka drewniane skrzynki ze śrubami i innym żelastwem. Tyle pamiętam. A Żydów nie.

*Wołanie przez ręce złożone w tubę.*

*Żydzi, Żydzi, kto was widzi.*

*Odgłosy grzechotu, obijania się o siebie jakichś przedmiotów, podnoszenia się.*

Będziemy się zbierać, dziewczynki. Tatusiowi zrobiło się zimno. Krążenie siada, ale jakby co, to jeszcze, jeszcze ha-ha, tatuś niczego sobie, niejeden by pozazdrościł. Zbieramy się, zbieramy... Panowie wrócą i się zainteresują. Będą pytali. A tego nie chcemy. Karuzela czeka.

*Szarpanie za klamkę.*

A kluczyk się zgubił. Jedna kieszonka, druga kieszonka... musimy sobie radzić bez kluczyka.

*Uderzenia ciałem o drzwi.*

I jeszcze raz, i jeszcze raz... i...

*Trzask wyrywanego zamka, łoskot padającego na podłogę ciała, grzechot. Poświata upadająca z zewnątrz, w ciemności ulica, oświetlone okna kamienicy po drugiej stronie.*



# Struktura światła



*Chichot.*

Pobudka, dziewczynki przyszły!

*Odgłosy macania ręką po ścianie, pstryknięcie włącznika.*

Niech stanie się światło!

*Odgłosy włączającej się świetlówki, po niej pulsowanie kolejnej. Mężczyzna pomiędzy sześćdziesiątym a siedemdziesiątym rokiem życia z ręką na włączniku na ścianie, na parczanych pasach ciągnący dwa białe, żeńskie manekiny wystawowe. Wnętrze niesprzątanej od lat pracowni krawieckiej, wszędzie różnokolorowe ściniki materiałów, w kącie przymierzalnia z pluszową kotarą, obok trzy krawieckie manekiny: dwa brązowe i jeden szary, dwie stare maszyny krawieckie napędzane pedałem, szafa, na szafie bele materiału. Na ścianie zegar z kukułką i wahadłem. Okno zasłonięte pluszową kotarą. Umywalka z kranem, szafka, na niej elektryczny czajnik. Na gwoździach wbitych w ścianę krawieckie wykroje z brązowego pakowego papieru. Pudełka ze szpulkami nici, suwakami, guzikami. Mężczyzna podciąga manekiny bliżej, obejmuje, całuje po łysych głowach. Podciąga spodnie, poprawia rozporek. W tym momencie odzywa się jedenaście razy kukulka i zastyga na zewnątrz.*

A to spryčiuła! Drze mordę na okrągło, kuka, kuka i wykukala, замуrowało!

*Grozi kukulce palcem i tupie nogą.*

Do budy, bo kotem poszczuje.

*Zgrzyt mechanizmu, drzwiczki zatrzasują się za kukułką. Pociąga nosem, zastyga z uniesioną ręką.*

Syrop z kocimiętki? To dopiero skurwysyny, dobrali się do moich zapasów. Niech wiedzą, że mnie oszukać się nie da.

*Rozgląda się nieufnie.*

Zmyślnie. Niby wszystko gra, na swoim miejscu, tylko ten zapach. Powinni uciąć im do głowy, że przeszukiwanie pod nieobecność to nie randka w ciemno. Zakaz podbierania alkoholu w miejscu rewizji i używania wody kolońskiej!

*Obraca się w jedną, później drugą stronę.*

Do której kamery? Uczcie się, gnoje!

*Pokazuje puste dłonie, klaszcze, robi hokus-pokus.*

Czary mary, hokus-pokus, labiryntus bzikus!

*Wypina półdupki w jedną, później drugą stronę.*

Guzik w dupę wszystkim psom, bez względu na umaszczenie!

*Otwiera zaciśniętą dłoń i pokazuje czerwony guzik.*

Jasna cholerka! Czerwony guzik od biskupiej sutanny. Stanowczo nie doceniałem swoich zdolności.

*Podrzuca do góry i łapie, otwiera dłoń.*

A teraz czarny. Jakies czary?

*Podrzuca do góry i guzik znika, dłoń jest pusta.*

Pokora to filozofia guzika. Jest niczym... I dlatego jest ważny. Jest końcem końca, marginesem waszego marginesu... i co tam jeszcze, że tak powiem.

*Odwraca się do manekinów sklepowych.*

Pardon, panie mi wybaczą te niuanse i maniery.

*Pokazuje stół z trzema krzesłami.*

Proponuję zająć miejsca.

*Podnosi jeden manekin, sadza na krześle, przenosi drugi, sadza na drugim, sam staje pośrodku, oddycha głęboko.*

Wracając do kwestii zasadniczej... bez guzika nie ma życia.



*Podnosi się. Krzyczy, akcentując każde hasło wyciągniętą, do góry pięścią.*

Szary guzik z plastiku!

Guzik obciążony materiałem!

Guzik z czarnych nici!

Guzik z żyłki wędkarskiej!

Guzik z końskiego włosia, który ma wszystkie inne guziki pod sobą!

*Ponownie siada.*

Ten plastikowy jak wielbłąd przeciska się z oporem przez ucho igielne, ten z końskiego włosia, który jest pierwszy między guzikami, ślizga się w dziurce jak panny na ślizgawce.

*Zaciągając po hebrajsku.*

Guzik to jest wielkie nic, z którego bierze się strojność i gracia. Sutannę szyło się na trzydzieści trzy guziki, a każdy to był rok w życiu Chrystusa. I wszystko było dobrze ułożone, dopięte.

*Do manekinów przy stoliku.*

Pardon. W kwestii wyjaśnienia, że tak powiem...

Panie pozwolą, że się przedstawię!

„Tradycja i Renoma”. Krawiectwo ciężkie.

Sutanny i komże. Krawiec Glut Antoni.

*Wstaje, stojąc na baczność chyli głowę przed jednym, później drugim manekinem.*

Tak jak guzik guzikowi nierówny, tak krawiec do krawca nie przystaje, każdy ma swoją rację stanu. Teraz króluje tandeta i bezhołowie, żeby więcej sprzedać i kupić. Guziki szyje się na dwa palce, to jest biorąc wzrost – dwadzieścia trzy do dwudziestu pięciu guzików na sutannę. A gdzie powaga zawodu, tradycja, gdzie szacunek?

*Kładzie przed każdym z manekinów przy stoliku wizytówkę.*

Ha, ha, ha! Zaprasowane w podwójny kant, pozwolę sobie zauważyć, drukarz spartaczył robotę – komże i sutanny, to nie to samo co sutanny i komże. Pokornie proszę o wybaczenie. We wszystkim powinien być jakiś porządek, jakaś hierarchia, nawet w piciu wódki. Inaczej jest co jest – przepaść, anarchia, piekło. Prywatnie mówiąc, nie miałbym nic przeciwko piekłu, gdyby nie diabeł.

*Zakłada na szyję miarę krawiecką, wkłada na palec naparstek.*

Zwykły człowiek ma aż dziesięć przykazań, musi dni święte święcić, wyrzec się cudzołóstwa, fałszywego świadectwa... i czego tam jeszcze. Krawiec tylko dwa.

Pierwsze odnośnie miary: nie waż się sztukować krótkiego, za to z namysłem skracaj długie. Drugie odnośnie koloru: nie będziesz nazywał czarnego białym, za to miej bacność, by białe nie okazało się czarnym.

*Manipuluje przy urządzeniu przypominającym radiolę.*

Dokąd ten świat zmierza? Dobre pytanie.

*Włącza gramofon. „Cyrk” J. Dunajewskiego.*

Do finału.

*Staje trzy kroki przed stolikiem z manekinami, podbiega jak aktor wywołany oklaskami, kłania się w pas, prostuje, przykłada rękę z naparstkiem do piersi, wznosi okrzyki.*

Niech żyje król i królowa! Niech żyje cyrk!

*Okrąża stolik paradnym krokiem powiewając chwyconym ze stołu kawałkiem materiału. Wskazując na kra-  
wieckie manekiny w kącie.*

Panie pozwolą: moi dworzanie! Wszyscy w jed-  
nym, męskim gatunku, ale jak widać w różnym  
wieku.

*Kłania się, biegnie po manekin. Stawia go przed stoli-  
kiem z manekinami sklepowymi.*

Zacznę od szambelana – ksywa Dziad.

*Huśta manekinem. Igła gramofonu przeskakuje po pły-  
cie wydając trzaski i powtarzając sekwencję dźwięków.*

Figlarz, oj, oj, chyba go wypchali suszoną mię-  
tą, bo taki skłonny, chętny, myszy się w nim le-  
gną, niejedno ma na sumieniu, nie dziw, że woli  
trzymać się kąta. Zamiast głowy kutas zakończo-  
ny kuleczką.

*Odkręca wytoczony z drewna walek o średnicy 4 cm,  
długości 25 cm, rozszerzający się ku górze o 1 cm, zakoń-  
czony kuleczką o średnicy 3 cm (imitujący szyję i gło-  
wę manekina) i przykłada do korpusu na dole, po czym  
znów wkręca na swoje miejsce.*

Trochę się sypie ze starości.

*Biegnie po następny manekin.*

Resort siłowy: spraw wewnętrznych i obrony.  
Ksywa Dzidziuś. Nabytek z czasów wielkiej pro-  
sperity. Zamiast głowy kawałek niklowanej rurki.  
Ciekawe połączenie brutalności i muzyki. Wystar-  
czyło dmuchnąć, a odzywał się jak myśliwski róg.  
*Sapiąc niesie ostatni manekin z kulą do kręgli ew. bilar-  
du (pionowo w połowie białej i czarnej) zamiast głowy.*

W randze ministra, w zależności od potrzeb:  
nadworny Błazen albo Kat. Inaczej sprawiedli-

wość bez prawa lub prawo bez sprawiedliwości. Podwójne nic, czyli nic do kwadratu. W stopniu najwyższym zaadaptowany do realiów teraźniejszości: w zależności od sytuacji biały albo czarny. Historia pokazuje, że taka postawa jest często traktowana na równi z cnotą.

*Obraca kulę raz w jedną, raz w drugą stronę.*

Nie ma się z czego śmiać, to na jedno wychodzi.

Wszystko już było.

*Do manekinów krawieckich stojących rzędem.*

Bacność chłopcy! Pozdrowienia od kolegi z wojska. Saper saperowi bratem. Nie będzie wiślało to, co ma z hukiem wylecieć w powietrze. Rdzewieje granat, nie stara żołnierska przyjaźń.

*Lapie się za głowę.*

Daliśmy do wiatu, nie będę ukrywał. Ale czy mogło być inaczej, wytłumaczony jestem!

*Chwyta butelkę z wodą, pije, grzbietem dłoni wyciera usta. Zwracając się do manekinów sklepowych.*

Książkę mógłbym napisać albo zrobić film. Takie było moje życie: zasrane gównem i ozłocone jednocześnie, panie wybaczą.

*Drapie się po głowie.*

Pardon, po kolei, bo jak się mam zwracać do pań? Może normalnie, powiedzmy w sposób naturalny... Jedyńka (*wskazuje manekin po lewej*) i Dwójka (*wskazuje manekin po prawej*).

*Sięga po butelkę z wodą.*

Zdrobniale – Jedyńeczka, Dwójeczka?

*Zagłąda manekinom w twarz.*

Tiu, tiu, tiu, niewinnie, prosto z dziubka w dziubek. Poprawności nie ma za grosz: pierwsza, druga, lepsza, gorsza (*krzyżuje ręce*): Dwójka, Pała.

Albo na odwrót: Pała, Dwójka. I od razu cała reszta...

*Chowa się za manekinami krawieckimi, zza ich pleców szepce szyderczo.*

Pale Dwójka, Dwóje Pała, jedna drugiej dogadzała. Śmieje się, pokazując na manekiny wystawowe, nagle zmienia ton, podnosi głos.

To nie jest śmieszne! Cicho gnojki, bo skopię dupy, takie żarty są nie na miejscu! Pokornie proszę szanowne panie o wybaczenie.

*Kłęką przed manekinami, bije się w czoło.*

Masz się za mistrza, w końcu to ty tu jesteś od myślenia. Eksplozja i Detonacja? Ekscentryczność i Ekstrawagancja?

*Podrywa się, zsuwa z szafy belę zielonego materiału, po niej niebieskiego, rzuca na stół, sięga po nożyce, odcina prostokąt, formuje z niego chusteczkę na głowę, zakłada jednej zieloną, drugiej niebieską.*

Zielona! Niebieska! Ile kolorów, tyle imion do wyboru. Może być czerwona, fioletowa albo żółta, gdyby była taka potrzeba...

*Do siebie, palcem wskazującym uderzając o własną pierś.*

Nie rób z tata wariata! Bez głupich żartów, Antoni! Przewróciło ci się w głowie? Od gry kolorów niedaleko do tęczy! Wystarczy tych wodotrysków, fajerwerków fantazji: Niebieska jak niebo, Zielona jak zieleń.

*Krawieckie manekiny formuje w szereg, z szufladki maszyny do szycia wyciąga centymetry krawieckie, dekoruje nimi manekiny, na miejscu serca przyczepia im krawieckie poduszeczki, z których sterczą igły.*

Postawa zasadnicza. Baczość! Do ceremonii chrztu komitet honorowy formuj!

*Chwyta z półeczki pod świętym obrazem kropidło i butelkę z niebieskim płynem przypominającym denaturat. Pociąga z butelki, krtusi się.*

Święcona. A niech to jasny gwint, niezły zajzajer. Do siedzących manekinów sklepowych oglądając etykietę.

Nie do podrobienia. Tak jak syrop z kocimiętki. Ociera łzy. Wyciera rękawem marynarki mały talerzyk, nalewa odrobinę, zanurza w niej kropidło. Kropi Niebieską, mówiąc.

Bądź niebem dla moich oczu, daję ci imię Niebieska.

*Kropi Zieloną, mówiąc.*

Bądź zielonym oddechem ulgi, daję ci imię Zielona.

*Do manekinów krawieckich.*

Spocznij! Niby nic nowego, jak to mówią banał, ale coś w tym jest. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

*Siada do maszyny, pedałem uruchamia mechanizm, nieregularny odgłos pracy maszyny jest muzycznym tłem do wspomnień.*

Mówiąc inaczej: czterdzieści lat temu do mnie należał świat, ja ustalałem reguły, dzisiaj jest na odwrót – nic nie zależy ode mnie. Wszystko!

Nich mi kto powie, dlaczego nie, mogłem być policjantem, bankierem, posłem na sejm, aktorem, strażakiem, księdzem, a może i prezydentem i nie powiem kim tam jeszcze... a jestem... no właśnie, tylko tym, kim miałem być.

*Wyciera łzy na policzkach, pociąga nosem.*

Cały ten świat, ta pospolitość niewybrednych życiorysów, drobnych łajdactw i przekrętów, mydlenia oczu. Jakub, mój tatko mówił: Bóg stworzył świat i przestał się do ludzi wtrącać. Rozdzielił role, ale nie dał nikomu gwarancji. Robimy dla niego całe to przedstawienie. Nie wiadomo, czy nas ogląda. Pokazujemy się z najgorszej strony. A może prawda jest taka, że nic nie wie o naszych niegodziwościach, bo znużyły go nasze łajdactwa. A sen Boga może nie mieć granic, jak jego potęga, może potruwać nawet wieczność.

*Wzdycha.*

Szkoda mojej głowy na takie dylematy. Życie człowieka to pełzanie i udręka. Prochem jestem.

*Smarka w chusteczkę. Zwraca się do manekinów przy stoliku wykrzykując słowa niczym hasła podczas demonstracji.*

Kłody – pod nogi, kij – w mordę bij, droga – pod górę a guzik – w dziurę... No to na jedną nóżkę?

*Wstaje od maszyny, przynosi kieliszek, stawia na stoliku, idzie do szafy, wyciąga najpierw jedną butelkę, ogląda pod światło, rzuca w kąt, później drugą, również pustą... Krzyczy*

Prosiłem: nie ruszać syropu z kocimiętki! Po kocimiętce normalny człowiek dostaje małego rozumu!

*Palcem wskazuje głośnik z lat 60. na ścianie.*

Za tym wszystkim stoi diabeł, na tym polega ta wasza parszywa robota: grzebiecie w moich rzeczach, chuj wam w dupę. Ale są granice, których nie można przekraczać pod żadnym pozorem.

*Szuka w szafie coraz bardziej nerwowo, przesuwając w szafie ubrania, sutanny, komże...*

Łotry, obszcymurki zawszone, za przeproszeniem pań – skurwysyny jedne! Szacunku to nie ma za grosz! Pieprzone darmozjady!

*Ciężko siada w szafie między wiszącymi w niej ubraniami.*

Umówmy się: nie ma mnie, nigdy nie było, nawet wtedy nie przechodziłem!

*Zaczyna wystukiwać rytm kroków uderzając w środek o ściany, dno szafy rękami i nogami. Nagle przerywa. Otwiera jedną połówkę drzwi, w rękach trzyma grubą, ilustrowany magazyn.*

Co to jest! Pytam się, co to jest!

*Uderza magazynem o blat maszyny.*

Co panie o tym mogą wiedzieć? Jak się większość życia spędziło na sklepowej wystawie, oferując raz to, raz tamto. Życie to nie sezonowa wyprzedaż. Prawdziwe życie jest za kulisami, na zapleczu, gdzie się kroi i mierzy, fastryguje, zszywa i pruje, wyraca na lewą stronę, nicuje, przyszywa guziki i robi ze starego nowe. Prorocze słowa: stare przerobić na nowe. Cała ta kołomyja powtarza się raz po raz... A motłoch to kupuje. Co do tego tatko miał rację: krawiec jest jak Pan Bóg, stwarza obraz świata, ubiera go albo rozbiera.

*Znów siada przy maszynie do szycia.*



Dlatego mówił: przyucz się na krawca, będziesz miał życie jak w Madrycie i powodzenie u kobiet. Chciałem być organistą – tatko, Panie świeć nad jego duszą: krawiec trzyma swoje życie mocno w garści. I nawet jeśli się mu rozedrze, to pozszywa go igłą i nitką. Wiedział, o czym mówi. Dlatego posłał mnie do terminu.

*Kręci głowę.*

Ale taka tragedia?

*Macha ilustrowanym pismem.*

Znalazłem koło śmietnika. Dwieście dziewięćdziesiąt cztery tysiące jednego dnia o jednej godzinie. Ojciec przez całe życie tylu biedaków nie wyprowadził na tamten świat, a umierali jak muchy.

*Otwiera kolorowe pismo, agresywnie podtyka pod nos sklepowym manekinom.*

Dlaczego o tym nic nie wiem? Jak to możliwe? Taka tragedia powinna wstrząsnąć światem, każdym państwem, miastem i wsią, każdym mężczyzną, kobietą i dzieckiem, a na ulicach życie się toczy jakby nigdy nic. Balety, bankiety, zabawy, tańce, jednym słowem: ludzka komedia.

*Otrzepuje z kurzu. Czyta.*

„Podwodne trzęsienie ziemi o magnitudzie 9,1. W następstwie wstrząsu, który miał miejsce 26 grudnia 2004 roku o godzinie 1:58:53 śmierć poniosło dwieście dziewięćdziesiąt cztery tysiące ludzi”.

*Zamyka i otwiera dłoń, zagarniając powietrze jakby łapał mola.*

Mol! Mam cię! Jeszcze tylko tego mi brakowało, żeby się tu mole załęgły.

*Odkłada pismo na bok. Podrywa się, włącza radio.*

Nic! Nic nie mówią!

*Włącza staromodny rosyjski telewizor kolorowy, zmienia kanały.*

A świat na to nie reaguje! Czy są jakieś granice nieprzyzwoitości?

*Łapie się za głowę. Sięga po butelkę z wodą święconą, wlewa zawartość do gardła, krztusi się, oczy wychodzą mu na wierzch, z trudem łapie oddech, klepie się po udach.*

Ale kwas! Hu, hu ha, hu... Od razu lepiej.

*Odwracając się do Dzidziusia, krzyczy na pełny głos!*

Co się gapisz!

*Popycha manekin w kierunku stolika. Śmieje się.*

Patrzcie go! Amant się znalazł! Onanista! Rurka w głowie w poprzek mu stanęła. A to szczył jeden! *Wyciąga pas ze spodni, przekłada manekin przez kolano.*

A ty! A ty! Na drugi raz dobrze się zastanowisz, zanim tatusiowi zrobisz coś tak brzydkiego w towarzystwie kobiet!

*Odwraca się do manekinów przy stoliku.*

Prawdę mówiąc, to go rozumiem. Nie miał okazji bywać w damskim towarzystwie!

*Chichocze.*

Wracając do podstaw: reguły są takie w krawiectwie, by prawda zakryta była wyżej oceniana od prawdy nagiej. Wszyscy to wiedzą, tylko sprawiedliwość jest ślepa.

*Rzuca belę białego płótna na stół. Chwyta centymetr.*

Najwyższy krawiec, nasz Pan i Bóg dał nam przykład, kiedy stwarzał świat, nie zapominał o centymetrze i na wszystko wziął solidną miarę. Przykroił pięknie, jak trzeba, Ewę do Adama,

a Adama do Ewy: tam, gdzie jemu coś wystaje, ona ma nie przez przypadek dziurkę, a to żeby lepiej pasowali do siebie.

*Podnosi manekiny z krzeseł do pozycji stojącej.*

Jeśli panie pozwolą, wezmę miarę.

*Mierzy manekiny. Zapisuje miarę w zeszycie, mamrocząc pod nosem.*

Miara to początek początku w krawieckim fachu, światło nad ciemnymi, skłębionymi wodami. A poleganie na pamięci to ciężki, niewybaczalny grzech. Zawsze mam przy sobie metr i kajecik. Przechodzień na ulicy, a ja już, odruchowo przeliczam: długość ramion, obwód w piersiach... zdejmuję miarę. Kolejka do kasy w sklepie, a ja rozkładam materiał, kroję: przody, tył, rękawy, podcięcie pod pachami... I osobie przede mną nawet przez myśl nie przejdzie, że to pod jej wymiar, na indywidualny obstalunek... Z całym szacunkiem dla tradycji zakładu, dla długonogich ślicznotek najchętniej prosty zakonny habit, dla przystojnych młodzieńców, filmowych amantów, skromna sutanna.

*Grozi palcem.*

I nie ma zgody na dewiację, przebieranki, zakonnicę w męskim klasztorze.

*Zaciera rękę z zadowoleniem.*

Dla porządku. Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Niebieską na N, a drugą z pań na Z. Obwód klatki piersiowej – 80. Talia – 50. Obwód w biodrach – 88. Ramiona – 40. Wzrost – 180.

*Do manekinów krawieckich rozbawionym tonem.*

Jednym słowem – tyczka do fasoli – z całym szacunkiem, kiedyś kobieta musiała mieć trochę i tu, i tam, żeby wzbudzić zainteresowanie mężczyzn. Dziś widać nie jest to konieczne.

*Wskazuje stos zeszytów formatu A4 w twardych okładkach.*

Krawiectwo to fach wymagający zaufania i solidności: człowiek był urobiony po łokcie, szył po nocach, a klienci cierpliwie czekali, bo innego wyjścia nie było. Z racji zawodu wiedza krawca o interesantach wykracza daleko poza przyjęte tradycyjnie granice. Niby to są niewinne drobiazgi, jakieś szczegółiki, ledwo wyczuwalne zapachy. A jeśli klientami są osoby duchowne to ho, ho, ho... Aż strach pomyśleć, o jakich rzeczach mógłbym opowiedzieć.

*Bierze jeden z zeszytów.*

Tak właśnie wyglądają brudnopisy Księgi Rodzaju. Krawiec musi sprzątać po Stwórcy, naprawiać jego błędy z zakresu fizjonomii i budowy członków ludzkiego ciała – taka jest natura zawodu. Co znaczy miara? Wszystkie pretensje klientów, skargi i zażalenia na robotę Najwyższego kierowane są do krawca. To nie pycha ani niewdzięczność każe mi tak mówić.

*Wiesza metr na szyi, patrzy na stos zeszytów. Wzrusza ramionami.*

Ten na samym dole, jak tylko otworzyłem zakład. Wtedy na okładki używali solidnej tektury, rogi usztywniali blaszką. Miałem dwadzieścia dziewięć lat i nie było w okolicy mistrza krawiec-

kiego w tak młodym wieku. Z dnia na dzień ze skromnego krawca urosłem do cieszącego się wzięciem kreatora mody. Pierwsze do drzwi zakładu zapukały kobiety. Antoś weźmie miarę, Antoś sprawdzi, czy nie przytyłam, Antoś w piersiach centymetr poluzuje, tchu przy Antosiu złapać nie mogę, może lepiej wziąć miarę bez biusthaltera, niech Antoś się nie czerwieni, przecież nie ma się czego wstydzić...

*Wyciąga zeszyt ze środka stosu, otwiera, z zadumą kartkuje.*

Bez zadatku nie przyjmowałem roboty. Miara, nazwisko, imię, adres. W pamięci rodziny już po człowieku nie ma śladu, a ja otwieram zeszyt i jest, słyszę jego głos, przypominam sobie jego charakterystyczne ruchy, jego sylwetkę: sposób, w jaki siada, chodzi, garbi się, pochyla, gestykuluje. Patrzę na datę pierwszej wizyty, na kolejne obstalunki i miary i czuję się skrybą samego Pana Boga, niezmordowanym kornikiem drążącym drzewo czasu.

*Drapie się po głowie.*

Dwoję się i troję jak pieprzony robak, zapelniam karty księgi przeznaczenia, a śmierć stoi za moimi plecami: robi kosą ruch i nie zważając na nic miesza szyki, płacze miary żywych i zmarłych.

*Zamyśla się, po chwili milczenia podejmuje temat.*

Za komuny nie było łatwo: raz po raz rewiden- ci, urzędnicy skarbowki, kontrolerzy, inspekcje. Zawsze kończyło się mandatem, karą, domiarem za zanizanie przychodu. Człowiek zaciskał zęby i płakał.

*Do manekinów wystawowych.*

W takich warunkach trzeba było wtedy żyć i pracować. Ale co to, to nie, nie narzekałem. Tylko z polecenia się szyło, po dobrej znajomości, można było w klientach przebierać jak w ulęgalkach, grymasić, robić fochy, a terminy na obstalunek były długie. Klient przynosił materiał i po prawdzie nie było nawet z czego wybierać, nic w sklepach nie było, chyba że za dolary z pewexu. Wszystko się robiło z wykrojów zamieszczanych w „Modzie”, „Burdzie”...

*Wzrusza ramionami.*

Panie tego nie mogą pamiętać, to była inna epoka, biorąc pod uwagę dostępność, bogactwo materiałów i kolorów, można powiedzieć, że era kamienia łupanego, wszystko było brudne i szare.

*Pokazuje ostatnią stronę zapisaną matematycznymi wzorami.*

Ale wtedy byłem w Lublinie kimś, drogie panie, tak jak kimś była sprzedawczyni w sklepie mięsny czy hydraulic, chociaż, mówię to z pełnym przekonaniem, nie uważam się za geniusza krawiectwa, kreatora mody na miarę Chrystiana Diora.

*Bierze krawieckie mydło, czarny materiał przytrząskuje drzwiami szafy, tworząc szkolną tablicę...*

Piękno jest przymiotem boskim i obywa się bez człowieka, to jednak zostało przez Stwórcę odpowiednio skalkulowane w proporcji kształtów i harmonii kolorów. Oczywiście same proporcje to daleko za mało i pojedynczego życia nie starczy, by to zrozumieć, mimo że piękno jest tak oczywiste

jak tabliczka mnożenia i niepodważalne jak prawda objawiona.

*Rysuje kobietą sylwetkę, linie oznaczające podstawowe miary.*

Nie chcę być posądzany o brak szacunku dla kobiet, chociaż to, co teraz powiem, może być uważane za prowokacyjne. Załóżmy, że jest to sylwetka kobiety. Oznaczmy przez  $x$  obwód w biuście.

*Kreśli mydłem krawieckim  $x$ .*

Obwód w talii powinien wynieść trzy czwarte tego, co Bozia dała w biuście

*Zapisuje z boku  $3/4 x$ .*

Za to obwód w bioderkach, żeby dla oka męskiego wydawały się ponętne i kształtne, powinien równać się trzech drugich talii

*Zapisuje  $3/2$  talii.*

I tu dochodzimy do sedna tej boskiej arytmetyki, równania (*zapisuje  $3/2 (3/4 x)$* ), co daje idealnie harmonijną sylwetkę przy wzroście wynoszącym co najmniej jeden i sześć dziesiątych metra. Od razu proszę panie o wybaczenie, bo oczywiście to tylko moje zdanie, a kobiecie piękno tylko w małej części bierze się z ciała, o reszcie stanowią duchowe przymioty.

*Przygląda się uważnie manekinom przy stoliku.*

Widzę po minach, że moje matematyczne teorie są nieco nużące. Uznaję wyższość kobiecej intuicji nad męskim intelektem, dlatego odwołam się do konkretnego przykładu. Według miary  $x$ , czyli obwód biustu w wypadku obu pań jest taki sam i wynosi 80 cm. Podstawmy to do wzoru: zatem obwód w tali daje  $3/4$  z 80 cm co wylicza się na 60 cm.

W podobny sposób obwód w biodrach daje 90 cm.  
Z tego wyprowadzam wzrost na 1,76 cm.

*Drapie się po głowie.*

No cóż, proszę o wybaczenie, niewiele brakuje,  
ale liczby mówią same za siebie.

*Wertuje zeszyt, w pewnym momencie przerywa, zaczy-  
na wspominać.*

Mój Boże! Celineczka! Aż ślinka mi cieknie na  
myśl o Celince! Wyjątkowa to była bestyjka. Do-  
piero zaczynałem praktykę, a ona była u szczytu  
popularności, uchodziła w Lublinie za pierwszą  
modniśnię, naśladowały ją nastroszone matrony,  
zasuszone stare panny, kucharki, praczki, podlot-  
ki i ulicznice...

*Wyciąga z głębi szafy kapelusz, sukienkę z lat 70-tych  
na wieszaku, inscenizuje spotkanie na ulicy.*

Czasami podczas spaceru po Krakowskim zda-  
rzało mi się spotkać ją na trotuarze. Uchylałem  
kapelusza, obnosiłem się z fedorą z czystej, an-  
gielskiej wełny z czerwoną satynową podszew-  
ką. Ona z gracją dygała wdzięcznie nóżką, mówiła:  
„Miło spotkać Antoniego” i podawała dłoń do po-  
całowania. Czułem na sobie zazdrosne spojrzenia  
mężczyzn. Och! Jak ja lubiłem te krótkie spacery  
w południe pomiędzy Bramą Krakowską a Placem  
Litewskim. To dopiero były czasy!

*Cmoka, dotykając palcami ust, śpiewa na melodię „Bru-  
netki, blondynki”.*

Celinka, Celinka, to była luks dziewczynka, uro-  
dy cud...

Mężczyźni szaleli na jej punkcie: wieszali się,  
bili o nią na noże, z rozpaczry rzucali na tory.



*Grozi palcem manekinom wystawowym.*

Cóż mi dziewczynki jutro po waszym powabie, gracji, uroku, waszych wdziękach? Niczego nie wolno odkładać na przyszłość, trzeba brać życie garściami, póki nie jest jeszcze za późno.

*Zwracając się do krawieckich manekinów.*

Czas na morał: wczoraj spotkałem Celinę w sklepie. Strach na wróble, oskubane z piór straszdyłło. Tłuste włosy, brudna, niemodna biała kokarda, przesadny róż na policzkach, sukienka uprawdzie jeszcze niczego sobie, moda na lata siedemdziesiąte wciąż trwa, ale szyta na inną figurę... Robiła w supermarkecie awanturę o dziesięć groszy, brakowało jej do batonika za, bagatela, złotówkę. Szepnąłem do ekspedientki, żeby zważyła jej kilogram najdroższych, najlepszych czekoladek jakie ma. Wzięła jakby się jej należało, nawet nie powiedziała dziękuję. Mówią – czas nikogo nie oszczędza, jest jak zły krawiec, w poprzek kraje, że radości i życia nie starcza...

*Bierze nożyce krawieckie, odmierza materiał z beli białego płótna, tnie.*

*Zarzuciłem pamięć o kobiecych wdziękach.*

*Spinając materiał na manekinach drapuje coś w rodzaju tuniki... Odchodzi, by ocenić swoją robotę z dystansu.*

Teraz przynajmniej nie widać, że czegoś, za przeproszeniem, paniom brakuje, chociaż, muszę przyznać, w zamian mają panie czegoś innego w nadmiarze, że tak to nazwę: wybuchowego temperamentu...

*Do krawieckich manekinów.*

Co się tak głupio gapicie? To nie grecki chór,  
a wystawowy damski duet. Nie mają nic specjal-  
nego do powiedzenia. Tańczą, jak im zagrają.

*Przytupuje, nucąc zaczyna taniec ze sklepowymi mane-  
kinami, najpierw z Niebieską.*

„Ta Niebieska, ta milutka, ta milutka, tańcowała  
dokolutka, dokolusia, tańcowała ranną rosą, ranną  
rosą i tupała nóżką bosą, nóżką bosą...”

*Później z Zieloną.*

„Ta Zielona, ta milutka, ta milutka, tańcowa-  
ła dokolutka, dokolusia, tańcowała i w południe,  
i w południe, kiedy słońce grzało cudnie, grzało  
cudnie...”

*Ociera pot z czoła, siada, ciężko oddycha.*

Już nie te lata.

*Wpycha zeszyt na swoje miejsce w środku, w trakcie wy-  
pada okrągłe metalowe pudełko na taśmę filmową.*

Wiedziałem, że się kiedyś znajdzie. Że nie zgi-  
nęła na amen.

*Potrząsa pudełkiem, otwiera, wyciąga ze środka szpul-  
kę z taśmą filmową, ogląda pod światło.*

O to właśnie chodziło. Będzie na dowód, że mó-  
wię prawdę. Diabeł tego jeszcze pożałuje!

*Wyciąga na środek stół, z szafy ściąga skórzane brązo-  
we pudło z rączką do przenoszenia, wyciąga ze środka  
projektor, podłącza, przygotowuje do pracy.*

Dał ojcu na przechowanie, taką miał do niego  
śmiałość. I tatko dobrze schował. Miał taką skryt-  
kę pod podłogą, o której nikt nie wiedział. Panie  
wybaczą ten wstęp, ale muszę o tym powiedzieć,  
bo takie są grzechy mojej młodości. Anielcia bar-  
dzo lubiła się bawić lalkami. Miała taką porcela-

nową lalkę jeszcze sprzed wojny z kompletem sukni balowych. Jako podrostkowi liczącemu prawie dziesięć lat wstyd było mi się bawić lalkami, ale skarb Anielci wzbudzał we mnie szaloną zazdrość: ja też chciałem mieć coś, co by było tylko dla mnie. Kiedyś trafiła się okazja, ukradłem lalkę i schowałem w tej właśnie skrytce pod podłogą. Mam tę lalkę do dziś.

*Wyciąga spod szafy pudełko po butach, a z niego lalkę, ubranka.*

Anielcia nigdy się nie dowiedziała, co stało się z lalką. Ale przestała się modlić, chyba postanowiła się zemścić na Bogu. I z tego rzuciła się w objęcia życia.

*Płacz. Biję się w piersi.*

Moja вина, moja вина... Niech Pan będzie dla niej wyrozumiały...

*Wyciera twarz, wysmarkuje nos.*

Tam znalazłem, w tej skrytce pod podłogą taśmę. To było już po tym, jak zabrali ojca. Nie przywiązywałem do tego wagi. Ale po tym, jak diabeł przyszedł po moją duszę, postanowiłem sprawdzić, co tam takiego jest. Kupiłem od ruskich na bazarze projektor.

*Kończy przygotowania. Z ręką na wyłączniku światła.*

I teraz co? Teraz będzie kino!



# Zasłona pamięci (opcja)\*

\* Ten akt, chociaż atrakcyjny dla widza zmęczonego ględzeniem starego krawca, jest jedynie jedną z wielu potencjalnych opcji, która może zostać uwzględniona bądź nie bez szkody dla fabuły monodramu.

*Rusza z terkotaniem projektor. Na białym ekranie pokazują się cyfry 5, 4, 3, 2, 1 i zaczyna się czarno-biały niemy film, który od czasu do czasu opatruje komentarzem bohater monodramu.*

**Tytuł: Mydło.**

*Ujęcie plenerowe, jezioro, słońce odbijające się w wodzie, żaglówki, kajaki, rowery wodne. Zbliżenie na żeglarzy z jachtu „Balladyna”, stroje kąpielowe z okresu międzywojennego, kobieta machająca ręką do operatora kamery i posyłająca całuski. Odjazd kamery, widać plażę z wiklinowymi koszami nad wodą, drewniany pomost z przycumowanymi łódkami, od którego odbija kajak. Na pomoście na składanych leżakach w strojach kąpielowych dwie młode kobiety: starsza, na oko siedemnastoletnia piękność o kręconych włosach i druga, podobna do niej, ale o dwa albo trzy lata młodsza. Od słońca osłaniają twarze parasolkami.*

*Zaraz dojdziemy do sedna. Ale proszę popatrzeć, jak się kiedyś pięknie żyło, chociaż śmiesznie, nie powiem, jednak człowiek tęskni do tamtych czasów.*

*Kamera odjeżdża w bok, widać boisko sportowe do siatki, najeżdża na tablicę Gospodarze – Goście i sędziego przy stoliku. Po jednej stronie drużyna w białych spodenkach i koszulkach w czarno-białe pionowe pasy, po drugiej zawodnicy w jednolitych czarnych strojach. Serwuje niski, krępy, na oko dziesiętnastoletni młodzieniec w pasiastej koszulce, kamera robi zbliżenie jego okrągłej, pucułowatej twarzy.*

**To właśnie on, nasz bohater.**

*Mężczyzna psuje zagrywkę, to wywołuje reakcję kolegi z boiska, dryblasa z opaską na ramieniu. Serwują-*

*cy mimo różnicy wzrostu odpycha brutalnie swojego rozmówcę, to wywołuje reakcję sędziego, który wkłada gwizdek do ust. W kadrze pojawia się mężczyzna w marynarce z apaszką na szyi, który gestem ręki nakazuje zejście z boiska awanturującemu się młodzieńcowi. Ten dobiega do piłki i kopie ją w kierunku trybuny z widzami.*

*Wujcio Bolek, niech się panie dobrze przyjrzą. Konsternacja wśród grających. Zawodnicy obu stron podbiegają do sędziego. Zamieszanie, gestykulacja, prawie bójka wśród zawodników. Młodzieniec nazwany Bolkiem opuszcza boisko i biegnie w kierunku pomostu, rozpędza się i skacze, woda ochlapuje siedzące na pomoście dziewczyny. Głowa Bolka wynurza się z wody, płynie kraulem do boi wyznaczającej granice kąpieli-ska i robi nawrót. Dziewczęta na pomoście śmieją się i pokazują go palcami.*

*Chyba się im spodobał. Pływa, nie powiem, jak na diabła, zawodowo. A one wyglądają na Żydówki, ale w takim razie co tam robią, kto im pozwolił. Młodzieniec podpływa do pomostu i robi efektowny nawrót.*

*Popisuje się.  
Ze śmiechem.*

*Ale zaraz nastąpi dramatyczny zwrot, będzie komedia.*

*Starsza z pańienek wstaje z leżaka, oddaje parasolkę młodszej i udając, że się potknęła, spada z pomostu do wody. Młodsza, wyglądająca na przerażoną, podrywa się z leżaka, macha rękami obracając się w różne strony, podskakuje. Mężczyźni grający w siatkówkę przerywają grę, rzucają się w kierunku pomostu, jedni wbiegają do*



*wody, inni siadają do łódki i chwytają za wiosła. Sędzia wkłada gwizdek do ust, nadyma policzki, mężczyzna w marynarce z apaszką na szyi łapie wiszące na słupku koło ratunkowe, wbiega z kołem na pomost i rzuca je do wody. Kajakarz, który przed chwilą odbijał od pomostu zawraca i pośpiesznie, młóćąc wodę wiosłem płynie na pomoc.*

*Zaraz zobaczymy, czy kto uratuje dziewczynę i zostanie bohaterem?*

*Mężczyzna nazwany Bolkiem, który był najbliższym miejsca zdarzenia, nurkuje i po chwili wynurza się z wody holując dziewczynę. Ci z łódki podają mu wiosło, wyciągają kobietę z wody i płyną do brzegu. Kładą na przyniesionych przez kogoś noszach.*

*Teraz następuje cała komedijska kombinacja. Mężczyzna nazwany Bolkiem nachyla się, odgarnia włosy z twarzy dziewczyny, przykładą do ust podane przez kogoś lusterko. Zaczyna robić sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Młodsza policzkuje go, odpycha. W trakcie incydentu starsza otwiera lewe oko i znacząco mruży, po czym podnosi ręce, wiesz się na szyi Bolka i zaczyna go całować.*

*Proszę, proszę i kto by pomyślał...*

*Mężczyzna podrywa się jak oparzony, gapie klaszczą, śmieją się, zawodnicy wracają do gry. Kobieta podnosi się z noszy, ale po dwu krokach zatacza się, osuwa na ziemię, Bolek podbiega, zarzuca sobie jej ramię na szyję i prowadzi do szatni. Otwiera drzwi z napisem „Przebiegalnia dla dam”.*

*Teraz będzie najlepsze.*

*Przez otwarte drzwi widać przebiegające się kobiety w różnym wieku i o różnych kształtach, mężczyzna*

*w drzwiach wywołuje panikę, mydło ląduje na jego głowie, w stronę kamery lecą różne przedmioty: części garderoby, szczotki, torby, na koniec ręcznik, który zakrywa obiektyw. Pojawiają się sklejki montażowe, fragment filmu do góry nogami, po czym znowu kolejny raz cyfry 5, 4, 3, 2, 1.*

Sympatyczny młodzieniec, uroczą panną, czego chcieć więcej. Drogie dziewczynki, część druga – „Świński ryj”.

*Piaszczystą, gruntową drogą przez letnisko idą w towarzystwie Bolka ubranego w letnią marynarkę młode damy znane nam ze sceny nad jeziorem, kiedy mijają kamerę młodsza z nich macha chusteczką do obiektywu. Po obu stronach drogi między sosnami drewniane domy typowe dla letniska z dużymi, przeszklonymi werandami. Zatrzymują się przed bramą ogrodzonego płotem piętrowego drewnianego domu z mieszkalnym poddaszem. Za płotem w ogrodzie jabłonie, z boku dwie huštawki, piaskownica i ogrodowa ławka. Na przeszklonej werandzie letnicy w różnym wieku, w piaskownicy dzieci.*

Popatrzcie, jak się nasz bohater kryguje, jaki nieśmiały był w młodości.

*Starsza z kobiet otwiera bramę, zaprasza, jak możemy się domyślać z gestów, Bolek się wzbrania, wykrecą, młodsza zdecydowanie bierze go pod rękę i prawie siłą wciąga do ogrodu. Prowadzi do ławki. Starsza biegnie podskakując zalotnie, znika w drzwiach domu. Po chwili wychodzi ze środka młody, przewiązany fartuchem Żyd w jarmułce na głowie. Na tacy wysokie szklanki z lemoniadą. Młodsza z panienek siada na huštawce. Wkrótce dołącza starsza, która zdążyła już zmienić*

*sukienkę, poprawić uczesanie i uczernić brwi. Bolek podrywa się z ławki, staje za huśtawką starszej.*

*Czas na niespodziankę.*

*Kamera odwraca się w kierunku drogi, widać na niej zbliżającą się szybko grupkę młodzieńców w czarnych strojach falangistów. Wśród nich zawodnicy z boiska. Dwaj z nich niosą wiadra z farbą, szerokimi pędzłami znaczą sztachety gwiazdą Dawida, na bramie jeden z nich zatyka świński ryj, pod nim pędzlem kreśli napis JUDE. Wystraszeni letnicy kryją się we wnętrzu domu, to wywołuje wzmożoną aktywność napastników: wygrajają pięściami, rzucają kamieniami w okna. Bolek zza sosny obserwuje poczynania falangistów, za jego plecami kryją się wystraszone panienki. Kiedy w kierunku domu lecą dymne świece, zza paska spodni wyciąga pistolet, strzela w powietrze. Napastnicy uciekają w pośpiechu. Film się urywa.*

*Mili chłopcy, kto im tak w głowach przewracał? A teraz dogrywka, druga szpulka. Jak to mówią kolejny akt – „Krew naszą leją katy”.*

*Korbką przewija taśmę filmową na oryginalną szpulę, zdejmuje i zakłada kolejną.*

*Rok – kto to wie?*

*Zaczyna się projekcja. Najazd kamery na ręce wyciągające się po pistolety złożone w drewnianej skrzynce. Narada spiskowców, instrukcji udziela bohater poprzednich filmików – Bolek. Wyciągnięte do góry zaciśnięte pięści uczestników. Ulica, szereg policjantów w hełmach stojących przy krawężniku ulicy. Kamera pokazuje ich twarze. W poprzek jezdni oddział konny policji, nerwowe ruchy koni. W perspektywie ulicy szary tłum ludzi. Najazd kamery. Jak na komendę nad głowami maszeru-*

*jących pojawiają się szturmówki i transparent: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”.*

Scena batalistyczna, z tego wniosek, że już w młodości pan Bolesław się zasłużył. Trudno uwierzyć?

*W pierwszym szeregu Bolek, obok niego starsza z dziewcząt, występująca w poprzednich filmach. Policjanci na koniach ruszają w kierunku pochodu. Bolek podnosi do góry rękę, daje znak. Idący w pierwszym szeregu manifestanci wyciągają pistolety, zaczyna się wymiana ognia. Tłum pierzcha we wszystkie strony, teraz włączają się do akcji policjanci tworzący kordon wzdłuż ulicy. Film się urywa wraz z upadkiem kamery.*

żywioty ognia





*Przewija taśmę korbką.*

Od siebie uciec się nie da. Widzą panie, jak się rzeczy mają, trzeba robić dobrą minę do złej gry, nie ma sensu udawać.

*Pakuje projektor do walizki.*

Ojca zabrali tajniacy dzień po moich dziesiątych urodzinach. Bolek, towarzysz Bolesław, szef Urzędu Bezpieczeństwa w Tomaszowie Lubelskim, krewniak tatki z Liśnika obiecywał pomoc, ale nie mógł, taka była oficjalna wersja, albo nie chciał tego zrobić. Ale te rodzinne konszachty na tym się nie skończyły.

*Wchodzi na krzesło, lokuje walizkę na szafie.*

Mam to przed oczami. Jak wchodzi do kuchni. Siedziałem na drewnianej skrzyni na węgiel pod oknem. Jedliśmy obiad. Ojciec wstał i wyłączył kołchoźnik wiszący nad stołem. Nie pozwolili mu się z nami pożegnać. Wsadzili go do czarnego Citroena i pojechali.

*Przerywa, ciężko wdycha.*

Więc kiedy ten krewniak-ubek przyszedł po tylu latach poczułem, jak świat usuwa mi się spod nóg.

*Ostrożnie schodzi z krzesła trzymając się szafy.*

Zatem może co powiesz? – wymamrotał, a widząc moje osłupienie w następnym zdaniu zakomunikował – Będiesz szył sutanny. Dostaniesz najlepsze materiały z Bielska. Nasz krawiec z Łodzi przyuczy cię, pokaże co i jak. Zmienimy szyld. Napiszesz wniosek na stosowny lokal. Gierek ma, to ci da – to był maj siedemdziesiątego piątego.

Obiecałem twojemu ojcu Jakubowi, że się tobą zajmę.

*Kuli się.*

To niedorzecznie, jak jakieś majaczenie. I że się powołał na ojca, i że się w ogóle pojawił. Przyszedł nie o północy, jak w bajkach, kiedy zegar bije dwunastą, przyszedł w środku słonecznego dnia, wiosną, kiedy rozwijały się na gałęziach liście, a w parku kwitły tulipany. Nie wiem, co miało znaczyć to przebranie, czy nie z tęsknoty do starych czasów. Wziął mnie pod pachę i wprowadził z zakładu, przekręcił klucz w zamku.

*Idzie w kierunku zeszytów, odlicza lata szukając właściwego.*

Kto za tym stał, czy może czasy się polepszyły, ale z dnia na dzień wszystko ruszyło z miejsca. Pamiętam to ze szczegółami, tak dokładnie, że nawet mnie samemu wydaje się dziwne. Stałem się szarą eminencją, zacząłem obszywać diecezję. A taki interesant na wyłączność to jak skarb, główna wygrana na loterii. Klient w najlepszym gatunku, ile ma kosztować nie pyta.

*Wyciąga zeszyt ze środka, otwiera na chybił trafił, zmienia modulację głosu.*

Antoś piwko wypije?!

*Zaczyna się zachowywać jak aktor, wypina brzuch, żeby upodobnić się do postaci, którą odgrywa...*

Nawet czasami to było śmiesznie, jak w amerykańskiej komedii. Kazał do siebie mówić Janek, po imieniu. Otwierał drzwi i od progu proponował piweczko. Zawsze w teczce miał trzy, cztery buteleczki, a wtedy piwo butelkowane uchodzi-



ło za rarytas. Ekspedientki dla swoich trzymały. Nie wiem, jak się w drzwiach mieścił. Metr pięćdziesiąt cztery obwodu w piersiach. Z każdym rokiem przypuszczałem mu obwód w pasie. Normalnie bierze się na sutannę od trzech i pół do czterech metrów. Na niego i sześć metrów było mało. Zwykła krawiecka miara ma długość półtora metra, nigdy nie myślałem, że trafi mi się taki klient, że nie starczy. Miał wikarego, takiego drobnego cherlawego chłopczykę, co do ramion mu ledwo sięgał. Wyglądali jak Pat i Pataszon.

*Luzuje drewnianą śrubę pozwalającą na regulowanie wysokości manekina, zakłada sutannę i podnosi do wysokości 1,90 m, wkłada pod sutannę listwę krawiecką, by zilustrować jej szerokość, na kolejny manekin zakłada drugą, obniża do wysokości 1,5 m, spina rękawy białą fastrygą.*

Rozumieli się znakomicie, stanowili dla siebie dobrą kompanię, można powiedzieć, że byli jak sfastrygowani. Widać biskup miał osobliwe poczucie humoru.

*Przesuwa manekiny do stolika z paniami, pilnując, by ręce pozostały połączone.*

Paraftanie się zbuntowali, że niby na pośmiewisko ich wystawiono, do prymasa napisali, no i się skończyło.

*Poruszony odwraca się do pań.*

Dochodzimy do samego sedna sprawy, do samej podszezuki. Różni księża, starzy i młodzi przychodzili do mnie żalić się na swój los. Zrozumiałe, że w wielkiej tajemnicy, przy okazji na inne tematy schodziło w rozmowie. Widać wśród braci w ka-

plaństwie nie znajdowali przyjaznej duszy, przed swoimi musieli się mieć na baczności.

*Do manekinów krawieckich.*

Biorę tych oto nicponi na świadców, że to wszystko szczerą prawdą. Niby coś zwięzić, zaszyć albo poprawić, a tak naprawdę wypowiadać się, wyżalić. Zastępowałem im ojca i matkę, byłem ich powiernikiem. Nawet Dzidzius to może potwierdzić.

*Kopie manekin Dzidziusia.*

Mów, jak było, bo ci dupę skopię. Same panie widzą, na jakie towarzystwo jestem skazany. Ale po kolei.

*Ożywia się, ogarnia go podniecenie.*

Wbrew pozorom, moda nie omija stroju kościelnego, chociaż dla większości ludzi strój kapłana od wieków pozostaje niezmieniony, tak samo jak dogmaty wiary. Chodzi o drobiazgi.

*Łapie pierwszą z brzegu sutannę.*

Te szczegóły są precyzyjnie określone i przypisane do kościelnych honorów, jak stopnie wojskowe w armii. Taki wewnętrzny szyfr korporacyjny dla wtajemniczonych określający zawodową pozycję w hierarchii. Można się w tym zgubić: w tych fioletach albo czerwieniach, obszyciach sutanny, pasach z frędzlami, czerwonych skarpetkach, butach z klamrą, mucetach – pelerynkach z fioletowymi albo amarantowymi obszyciami, pompochach przy birecie, kolorach guzików przy sutannie... A jeszcze jest rokieta, czyli krótka komża podszyta amarantem, mantolet – peleryna bez rękawów sięgająca kolan w kolorze fioletowym, distinctorium

w postaci równoramiennego, emaliowanego i złoczonego krzyża zawieszanego na szyi...

*Kiwając potakująco głową.*

To jak panie widzą zapowiada rewię mody, a nie rozmowę o stroju skromnego sługi bożego.

*Kiwając przecząco głową.*

Każdy nosi w duszy ziarno pychy, a co dopiero człowiek, któremu się wydaje, że trzyma Pana Boga za nogi i przemawia w jego imieniu? W Watykanie kreują modę kościelną jakiś tam Gamarrelli, Euroclero, Mancinelli, w Lublinie ja, Antoni Glut, „Tradycja i Nowoczesność”. JA!

*Śmieje się.*

Szczególny czas w moim życiu. Byłem więzionym krawcem, do szycia ustawiały się kolejki, zatrudniałem dwu czeladników i sześciu uczniów. Wierzyłem przede wszystkim w siebie, później w niebo, nie wierzyłem w piekło. Byłem skłonny uważać, że diabeł jest jedynie wytworem chorej wyobraźni, postacią z bajek, którą księża z rozmysłem tumaniają wiernych wymuszając finansowy haracz i ślepe posłuszeństwo.

*Poprawia się przed lustrem.*

Wracając do tematu: szyli u mnie wszyscy: od kleryka do biskupa, nawet rektor seminarium.

*Bierze do ręki stojący obok lustra kij i wymierza pchnięcie w korpus manekina.*

Subtelność była w tym, że ci pierwsi przychodzili do mnie, zaś do tych drugich ja. Nie wiem, czy był ktoś inny, kto by tyle wiedział, co dzieje się w kurii, kto i z kim, przeciw komu trzyma. Słuchałem wyznań, oskarżeń pod adresem współbraci,

utyskiwań na niewdzięcznych parafian, poznawałem ich skrywane ambicje, czułe miejsca, plany, intrygi, wreszcie grzechy. Zachowywałem powściągliwość i wyrozumiałość, nigdy nie robiłem z tej wiedzy użytku i w tym chyba byłem podobny do Stwórcy, który wie wszystko i na wszystko się zgadza, nigdy nie interweniuje, chociaż mógłby położyć wszystkiemu kres. To się nazywa, że zachowuje neutralność i daje nam wolną wolę.

*Uderza kijem o stół.*

Szyłem sutanny dla młodych, starych, dobrych, złych, pobożnych i grzesznych, wierzących i niewierzących. Ktoś powie, to niedorzeczność, niewierzący ksiądz, najciemniej pod latarnią, wiem coś o tym, jak wielu z nich straciło wiarę, ale to ukrywają, nadrabiają pozorami żarliwości i religijnego fanatyzmu.

*Wyciąga z kąta niklowany wieszak obrotowy obwieszony sutannami, ustawia na środku.*

Żeby nie być gołosłownym... tytułem wyjaśnienia dla pań, kiedyś moje skrywane marzenie, stare sutanny klientów z myślą o małym, skromniutkim muzeum, izdebce krawiectwa... Tak było... pycha mną rządziła, pycha.

*Obraca wieszakiem, wprawiając sutanny w ruch, śpiewa, przerywając na komentarze, kiedy pokazuje sutannę z wieszaka.*

„Karuzela, karuzela/ W parku Saskim...”

*Podnosi do góry otwartą dłoń.*

Stop! Stop, stop...

*Zdejmuje sutannę z wieszaka, sprawdza napis na podszewce.*

Świątoszek! No tak, złego słowa nie dam o nim powiedzieć, dobry klient, zawsze wszystko w najlepszym gatunku, jedwabna podszełka, rok w rok nowe spodnie, koszula albo dwie, sutanna, po rękach całować, ze świecą szukać. Tyle to nawet na biskupie nie miałem. Człowiek sam z siebie osobliwy, z ciekawym charakterem...

Chudy jak szczapa, a z natury choleryk. Księża o nim negatywnie nie mówili, bo w tym fachu obowiązuje solidarność: ksiądz na swego brata w kapłańskiej posłudze do świeckiego niczego złego nie powie, ale wszyscy w kurii wiedzieli, że dusigrosz i skąpiec. Wymyślił, że będzie mszę w środku przerywał i z tacą chodził, żeby mieć gwarancję, że wszyscy ofiarę dali. Wieczorami zamykał się na plebanii, okna szczelnie zasłaniał, mówił, że się umartwia. Wylewu dostał, podobno znaleziono go sparaliżowanego wśród rozrzuconych banknotów. Oddajcie moje dolary! – to ostatnie, o co się upomniał w przyпыływie świadomości przed śmiercią, wiem od siostry z domu opieki, która zwięzała u mnie habit. A ja, Bóg mi świadkiem, rozumiałem się z nim bez słów, traktował mnie jak zaprzyjaźnionego.

*Wiesza sutannę na drzwiach szafy, uprawia wieszak w ruch obrotowy, podejmuje śpiew.*

„...w parku Saskim co niedziela. /Śmiechu beczka i wesela, /karuzela, karuzela”

*Sięga po kolejną sutannę (z fioletowymi guzikami), zatrzymuje wieszak, sprawdza.*

Buhaj to było jedynie przezwisko, naprawdę nazywał się inaczej, tacy też mi się zdarzali, jak

to się mówi – pasjonaci. Nie powiem, klient dobry, ale wymagający, trudny, czepiał się szczegółów, potrafił człowieka zirytować. Zmienny był i miał swoje humory. Jak już przyszło co do czego, płacił honorowo i się nie targował. Szyłem mu kano-nicką sutannę z fioletowymi guzikami i, to tajem-nica, sutannę biskupią. Nie pytałem o nic, bo to nie moja sprawa, wyznaję zasadę: klient ma swo-je powody, zamawia i płaci. Jeśli by obstałował papieską, też bym uszył. Podśmiewali się z niego, że panny po zapowiedziach na plebanię na prak-tyczne nauki przedślubne zaprasza i połowa dzieci w parafii powinna wołać na niego tato, ale kto by brał na serio ludzkie gadanie.

*Odwiesza sutannę.*

Nie znam szczegółów, podobno zawiódł się na kobietach, inni mówili o kryzysie wiary, a może po prostu popęd stracił, niemniej spokorniał i za-mknął się w zakonie. Braciom służył. Szkoda mi go, chociaż nerwów mnie kosztował, ale jako klient był dobry, tyle że nie w moim typie.

*Podjmuje śpiew, uprawia w ruch wieszak.*

„A muzyczka, muzyczka nam gra...”

*Sięga po kolejną, próbuje odcyfrować napis kredą, wącha.*

Naftalina? Mole jej nie ruszyły, chociaż czysta wełna. Setka, krepa. Taki materiał to był rarytas, robili go jedynie w Bielsku. Oficjalna nazwa: Za-kłady Przemysłu Wełnianego im. Pawła Finde-ra. Wtedy w krajkę, brzeg materiału wplatali ko-lorowe nitki: biała oznaczała bawełnę, czerwona elanę, niebieska wełnę. I wszystko było wiadomo. Pięć nitek niebieskich – czysta wełna. Dwie czer-

wone, trzy niebieskie – czterdzieści procent elany,  
sześćdziesiąt wełny.

*Ogląda sutannę.*

To był kiepski interes. Jakiś partacz, nigdy tak nie mówię o koledze po fachu, ale w tym wypadku się nie da inaczej, jakiś partacz bez pojęcia ją zwęzał, przerabiał. Krawiec nigdy by nie zacerował rozdartego materiału na okrętkę. Przetarta podszewka prawej kieszeni. Postrzępiony dół obszyty zwykłą tasiemką. Guziki pozał się Boże z plastiku, rękawy przetarte na łokciach. Uczciwy rzemieślnik nie podpisze się pod czymś takim, jak już podjąłem się roboty, to honorowo, zamiast reperować, uszyłem nową sutannę ze swego materiału. Nie chciałem ryzykować, inaczej bym autorytet wystawił na szuwank. Ładnie bym wyszedł, gdyby wszyscy moi klienci byli tacy, już dawno skończyłbym pod mostem.

*Zwracając się do Niebieskiej i Zielonej.*

Co z tego, że może nawet kandydat na ołtarze. On miał swoje zadanie do spełnienia, a ja swoje. Jedni mówili o nim z szacunkiem, inni się podśmiewali. Seminarium przed wojną we Lwowie kończył, po święceniach poszedł na wieś ukraińską z posługą, w czterdziestym trzecim banderowcy próbowali go zamordować. Repatriowali go do Polski, a on na emeryturze wrócił, nadstawił drugi policzek.

*Wiesza na drzwiach szafy, przykleka. Znów wprawia w ruch wieszak, śpiewa.*

„Jak przyjemnie /Gdy świat kręci się wkoło. /  
Świat cały – ty i ja...”

*Zatrzymuje wieszak, sięga po kolejną.*

Tego się bałem. Szczurek nazwali go w seminarium, bo z fizjonomii i charakteru był podobny do gryzonia. Chciał ze mną spółkę robić, żebym na eksport do Rzymu sutanny szyl i dzielił się z nim zyskami. O duże pieniądze szło. Trzeba przyznać, że miał zdolności, był sekretarzem kurii, później doktorat z prawa kanonicznego zrobił w Watykanie. Urządził swoją rodzinę w Rzymie: ojciec sklepik z pamiątkami, obowiązkowy punkt na trasie pielgrzymek z Polski prowadzi, matka u księży-rodaków sprząta, pierze i gotuje.

*Odwiesza sutannę na drzwi szafy.*

Słyszałem, że prywatnie, w wolnym czasie, „zabawia się” doradztwem w procesach o stwierdzenie nieważności małżeństwa. Potrafił „rozwieść” znanego polityka, który spłodził trójkę dzieci i nabrał ochoty na młodszą żonę. Smaczku dodaje fakt, że stało się to po trzydziestu latach zgodnego pożycia, a nieważność ślubu kościelnego orzeczono z powodu „bojaźni szacunkowej”, czyli respektu wobec rodziców.

Po tym, jak odmówiłem udziału w biznesie nasze drogi się rozeszły. I chyba to był mój największy zawodowy błąd.

*Śpiewa i kręci.*

„Świat cały – ty i ja./ Ach, jak przyjemnie, że się jeszcze tych niedziel przed sobą tyle ma...”

*Sięga po purpurową sutannę pralata, przygląda się jej z uwagą, sprawdza szerokość w pasie. Naśladuje ruchy osoby ponadprzeciętnie otluszczonej, pochrząkuje jak świnia.*



Drogie panie, mój przyjaciel serdeczny za usługę lat Honorowy Prałat Jego Świątobliwości. Antosiu! – wołał, kiedy przychodził do mnie – rób prędko jajecznicę z dwunastu jaj, bo srodze jestem zgłodniały. Dziś na stołówce seminarystycznej na śniadanie była tylko pasztetowa i żółty serek, czy oni myślą, że ja o takiej drakońskiej diecie jestem w stanie wyżyć? Morzą mnie głodem, a kiedy protestuję, mówią: jedno jest prawo dla wszystkich. A mnie potrzeba do życia boczusia i pętka dobrej kielbaski, schabiku, goloneczki... A oni mnie postnymi kartoflami i suchym chlebem napychają. Od chleba się tyje tak jak od kartofli.

Po nocy śnią mi się koszmary: parujące kiszeczki wypchane mięsem, piramidy ułożone z pętek kaszaneczki, salcesony...

Kiedy odmawiam wieczorną modlitwę, proszę: Panie bądź dla nich wyrozumiały, nie poczytaj im tego za grzech, ale niech zrobią na śniadanie schabowego z zasmażaną kapustą, a na obiad tłustego kuraka, a na kolację gulasz z cynaderek. I niech do każdego posiłku gąsior przedniego wina podadzą.

Wysłuchaj moich pokornych prośb, bo inaczej się zbuntuję i pójdę tam, gdzie jest ciepło i dają dużo tłustego mięska.

*Wącha sutannę.*

Jeszcze teraz wędzonką pachnie. Miał kolegę, wysokiego prawie na dwa metry, chudego jak szczapa, masarza. Uzupełniali się wzajemnie: masarz kochał kobiety, prałat mięsko. W szafie, szufladach biurka, nawet pod poduszką trzymał

prezenty od przyjaciela. Zatrul się jadem kielbasianym i zmarł, niech Pan go pocieszy.

Lubiłem go, był człowiekiem otwartym i szczerym, dobrym dla innych, mogę powiedzieć przyjacielem, chociaż bałaganiarzem i flejtuchem. Z płaceniem u niego było ciężko. Zulekał tygodniami.

*Zatrzymuje wieszak, sięga po kolejną. Wiesza po lewej, wyciąga habit zakonny franciszkanina.*

Jeszcze jeden do menażerii. Mam po tatku szacunek do gołodupców. Ociec gwardian, ociec superior, ociec święty – nie wiem, czy to było seplenienie, czy jakaś gwara. Wystarczyło popatrzeć na niego, że pieniądzem nie śmierdzi, że majątki i skarby tego świata ma za nic. Wzięła mnie liłość, to, co nosił na grzbiecie, trudno było nazywać habitem. Dobrze, że tacy święci mężowie to wyjątek. Nie pasował mi do stanu duchownego: zbierał pieniądze na leczenie dzieci, szczepionki do Afryki, pomoc dla uchodźców, oddał nerkę chorej kobiecie z trojgiem dzieci, był dawcą szpiku, dawcą krwi. Tak się trząsł nad każdą złotówką, którą musiał wydać na siebie jakby to była kwestia życia i śmierci. Superior go na parafię w mieście wyznaczył, ale odmówił. Tak się w tym nieposłuszeństwie zauziął, że nawet upomnienie od prowincjała dostał. Prawdę mówiąc, imponował mi. Oryginał, chociaż z zasady takich lepiej omijać z daleka. Człowiek do końca życia się uczy i głupi umiera.

*Myje w miednicy ręce.*

To taki mały, prywatny ogrodek zoologiczny, wybieg dla oryginałów i najciekawszych przy-

padków. Cała reszta to tło, grząska zawieszina: trochę dobra trochę zła, glina jako reszta. Ciągnęli do mnie jak muchy do miodu, byłem dobry, najlepszy, bo w tej robocie każdy szczegół ma znaczenie. *Bierze kupon czarnego materiału ze stołu, rozwija, podrzuca.*

Rzecz pierwsza, materiał – powinien być miękki, lekki, odporny na zabrudzenia i się nie gnieść, bo to rodzaj materiału na sutannę jest widocznym znakiem jakości i elegancji.

Dziś używany jest tropik, bo nie wymaga prasowania, mówiąc inaczej lekka, przewiewna elastyczna tkanina w splotie płóciennym. Kiedyś wzięciem cieszyła się wełniana krepa, cięższa od tropiku, która dobrze chroniła przed ciepłem i zimnem, ale dziś kościółki są ogrzewane, a księża poruszają się nie konnymi zaprzęgami, ale samochodami z klimatyzacją. Oczywiście, oczywiście, za odpowiednią cenę dla wymagających miałem miękki i cieniutki kaszmir.

*Wyciąga spod stolika dwa zwoje sznurka: czarny matowy i czarny błyszczący, pokazuje na sutannie.*

Sznurek wykańczający rękawy – cztery kawałki po pół metra i jeden trzymetrowy kawałek na brzeg wierzchniej poły sutanny i dalej wokół stójki szuty na kant, w sumie pięć metrów na sutannę. Trudno go nawet zauważyć, chyba że jest to sutanna kanonicka lub prałacka i jest fioletowy albo czerwony. Niby szczegółlik, można użyć sznurka plecionego jak sznurowadło, który z czasem matowieje, zaczyna się strzępić albo kręcone

go z jedwabnych nici, żeby sutanna nabrała elegancji i szyku.

*Pokazuje na sutannie*

Jest różnica? Jest!

*Demonstruje dolny brzeg sutanny.*

Idziemy dalej. „Szczotka” wykańczająca sutannę od dołu, która sprawia, że nie bierze kurzu, a buty są zawsze lśniące. A kieszenie, rzecz bardzo, bardzo ważna – w fałdzie poniżej pasa kieszeń do tyłu i przecięcie do kieszeni od spodni, kieszeń, na lewym rękawie na chusteczkę, kieszeń na piersi lewej podwójna, mała pod dużą i na prawej duża...

*Wywraca na lewą stronę kieszenie.*

A wycięcie pod koloratkę: rzymska, o kształcie prostokąta, okalająca całą szyję albo widoczna jedynie od przodu w kształcie litery „v”. A sztywne płótno dodające sutannie na ramionach i piersiach elegancji, dziś zamiast niego miękka klejonka...

*Idzie do kąta z czajnikiem elektrycznym, napełnia wodą, włącza.*

Żeby nie przedłużać: są dziesiątki sposobów, by odróżnić jedną sutannę od drugiej, nadać jej szyk i wytworność. Jak to zostało powiedziane drogie panie w piśmie: jednych wywyżżyć, a drugich strącić w dół. Na tym to polega wobec tak wybrednego klienta, jakim jest kler, na tworzeniu różnic, podkreślaniu statusu i rozbudzaniu ambicji.

*Siada przy maszynie do szycia. Podnosi rękę rozczapierzając palce.*

Pięć palców, jedna ręka, tył, dwa przody, dwa rękawy pięć części jednej sutanny. Tył kroi się na

całą długość ze złożonego na pół materiału i od łopatek do talii robi się wcięcie, stopniowo ujmując miary z szerokości. Dzięki temu po zszyciu i rozprasowaniu tyłu sutanna jest ładnie dopasowana na plecach, a dół pięknie składa się w fałdy. Na przodzie idzie na piersiach klejonka, po sfastrygowaniu z tyłem konieczna jest pierwsza przymiarka. Wtedy wyrównuje się dół, żeby był na jedną długość od podłogi. Jeśli jest dobrze, szyje się na gotowo, wstawia rękawy, zakłada podszewkę, doszywa stójkę i już, zostaje tylko wykończenie.

*Śmieje się.*

Nawet takie nic jak krawiecka kreda do kreślenia po materiale: znacznie lepsze od kredy jest domowe mydło, nie zostawia śladu.

*Idzie zalać herbatę w szklance, siada przy stoliku dla klientów.*

Prawda, że proste? Specjalnie dla pań skrócony kurs z podstaw kroju i szycia z cyklu „Zrób to sam”.

*Zwracając się do manekinów wystawowych.*

Bo od tego gadania gardło mi zaschło, proszę nie mieć mi za złe.

*Pokazuje stojące w rogu wiadro.*

Ale, drogie panie, z płynami trzeba uważnie, bez przesady. Kiedy zaraz po wojnie siostry kanoniczki eksmitowały nas z Podwala, też mieliśmy wychodki na podwórku. Dla parteru, drugiego i pośrodku dla naszego piętra osobno. Jest co wspominać, jak się nie podłożyło gazety, to zimą, za przeproszeniem, półdupki do deski w wychodku przymarzały.

*Głośno siorbiąc.*

Ale, ale... Jak to mówiłem interes z sutannami się nakręcał, coraz bardziej i bardziej. Nawet jeśli za tym stali jacyś ubecy, to niczego ode mnie nie chcieli, mnie samemu wydało się to dziwne. Tak pewnie się czułem, że nawet ułożyłem sobie w głowie – jeśli przyjdą, poślę ich w cholerę i nic mi nie zrobią, bo jestem dobrze ustawiony i żaden z klientów w ich kłamstwa nie uwierzy.

*Odnosi szklankę do kuchennego kącika.*

Muszę przyznać, że byłem naiwny. Naiwny! Nawet jak upadała skarbówka, łapali się za głowy, bo wyglądało na zakład produkcyjny, tak bardzo byłem zawałony robotą i pojąć nie mogli co się dzieje, że płacę ryczałt jak zwykły rzemieślnik. Bo to była mała fabryczka bez porównania do tej nędzy, w której siedzę teraz.

*Wraca do maszyny.*

Szykowałem się na przyjście diabła, a życie sobie ze mnie zadzwilo: bo to ja na kolanach poszedłem do niego. Człowiek tyle lat obnosi się z sobą, a siebie nie zna.

*Zasłania twarz rękami, zaczyna łkać.*

Kochałem go, kochałem! Był moją nadzieją, dla niego żyłem.

*Łkanie przechodzi w szloch.*

Januszkule, mój Januszkule, kto mi cię odebrał. Mój synku, moja radości. A Januszek chorowity był. Wszyscy wokół byli zdrowi, jakieś znajdkie, dzieci ostatnich łajdaków a on nie. Dlaczego!

*Łapie jakąś ścierkę, wyciera twarz, smarka nos.*

Tylko raz sprzeniewierzyłem się sobie i chociaż to było w dawnym życiu, nie potrafię zapomnieć. Myślałem, że żalność z czasem przejdzie nakryta innymi sprawami, jak to zwykle. Ale nie doczekałem się przedawnienia od siebie. Zaprzedałem się diabłu. Do Radomia pojechałem, tam go przenieśli na szefa MO. Komendant towarzysz Bolesław. A ile to było zachodu, tłumaczenia, sprawdzania zanim wpuścili mnie do poczekalni.

*Śmieje się.*

Poznał mnie, poznał od razu. Zatem może co powiesz? – spytał. Wiedział, że Januszek jest chory. Klęczałem przed nim, całowałem po butach, prosiłem o lekarstwo, o pomoc.

*Żnów wybucha śmiechem.*

Nawet się przejął, posadził w fotelu, nalał koniaku. Wspomniiał tatka – że tak, jak się stało z Jakubem, musiało się stać, i że rozumie go, że nie chciał nikogo wydać. Zapisał wszystko w notesie, obiecał, że zadzwoni.

*Drapie się po plecach.*

Nie zadzwonił, za to przysłał kogoś. Nie przedstawił się. Ode mnie młodszy o mniej więcej dwadzieścia lat, taki pistolet, jak to mówią. Było coś dziwnego w jego sposobie zachowania, jakaś śmieszność, że aż mnie zachciało się chichotać. Przyjął to, jakby tego właśnie się spodziewał. Też zachichotał jak uczeń. W pierwszej chwili pomyślałem, że jakiś nalot, ale na kontrolę przychodzą po dwóch.

*Pokazuje trzęsące się ręce.*

Wzięły mnie nerwy. – Pan jest z Urzędu Skarbowego? – jego wygląd mi nie pasował do inspektora skarbowki, by mnie uprzedzili, miałem tam protekcję u samego naczelnika. Pomyślałem, że mam do czynienia z wariatem. Podszedłem do telefonu, żeby zadzwonić po milicję.

*Idzie w kierunku staromodnego telefonu, podnosi słuchawkę.*

– Pamiętasz numer, czy ci podyktować? – spytał. – Pułkownik wyraził zgodę. Najpierw musisz się zadeklarować. „Ja niżej podpisany zobowiązuję się do współpracy i przekazywania informacji w zakresie wszelkiej nielegalnej działalności politycznej i gospodarczej na szkodę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przekazywane przeze mnie informacje będą prawdziwe i obiektywne. Informacje będę podpisywał pseudonimem „Krawiec”. Fakt współpracy zachowam w ścisłej tajemnicy przed najbliższą rodziną i znajomymi”.

*Odkłada słuchawkę.*

– A jak nie podpiszę? Kim pan jest? – nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy. Nie odpowiedział, z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął plik spiętych kartek, rzucił na stół. Historia choroby twojego syna. – Możesz sprawdzić – zaproponował. – Są tu wyniki badań, opinie lekarzy, zalecenia konsultantów. Jest jakaś szansa na powstrzymanie choroby, zasięgałśmy opinii specjalistów. Ale musisz podpisać zobowiązanie, nie ma nic za darmo – poklepał mnie po ramieniu. – Weźmiemy go do szpitala do Warszawy, a gdyby trzeba, nawet do



Wiednia do kliniki, chociaż bez gwarancji. Podziękuj pułkownikowi.

*Krzyczy zasłaniając twarz dłońmi.*

A-aa! A...!

*Uspokaja się po chwili.*

Podpisałem, to nie było nic wielkiego, byłem gotów nawet zabić, żeby ratować Januszka. Na odchodne poprosił, żebym zrobił listę klientów z kurii, którzy szyją u mnie sutanny. Dotrzymał słowa, następnego dnia przyjechała karetka, zabrali Januszka do kliniki w Warszawie na badania.

*Mówi z trudem, jakby brakowało mu powietrza.*

Nie chciałem nikomu robić krzywdy, chciałem tylko, żeby mój Januszek wyzdrowiał. Po dwóch tygodniach przyszedł do mnie ponownie. Pokazał list z Wiednia z kliniki od jakiegoś profesora, który napisał, że przyjmie mojego synka. I poprosił, żebym podczas przymiarki przekazał biskupowi zaklejoną kopertę. Powiedział, że w środku są zdjęcia. Nie wiedziałem czego dotyczyły, nie otwierałem koperty, żeby tylko nie zaszkodzić Januszkowi.

*Wstaje, nalewa sobie wody do szklanki, łyka jakieś lekarstwo, siada na stołeczku, kontynuuje.*

Poprosiłem biskupa o zachowanie tajemnicy, jak podczas spowiedzi. To miała być moja jedyna przysługa za uratowanie Januszka. Prawdę mówiąc byłem gotów zrobić nawet więcej, taka owładnęła mną desperacja.

*Macha rękami.*

Wszystko, ale to wszystko poszło źle. Kanclerz kurii powiesił się jeszcze tego samego dnia wiecz-

rem. Adrian, ten kleryk z kręconymi włosami, podobny do aniołka, podciął sobie żyłką żyły i ledwie go odratowali. Został przy życiu, ale nigdy do siebie nie doszedł, coś mu się w głowie poprzekęcało, zwiariował. Mówiono, że byli w związku cielesnym.

*Placze.*

A mój Januszek dzień przed wyjazdem do Wiednia zmarł.

*Wygraża pięścią.*

Wiem, że to zrobił Bóg i że to kara od niego.

*Obraca się w kierunku obrazu.*

Dlaczego taki jesteś! Dlaczego mścisz się na niewinnych!

*Krzyczy.*

Nie boję się ciebie! I co mi zrobisz?! No co!

*Łapie się za serce, oddycha głęboko, zsuwa się ze stołeczka na podłogę.*

Żeby tylko nie skończyło się zawalem. Bo wtedy diabeł postawi na swoim. Wzniesie toast za sukces syropem z kocimiętki?

*Siedząc w kucki na podłodze.*

Potem było tak jak było: Jan Paweł II, Solidarność, głupi to wie...

*Podnosi się z trudem.*

Każdy chciał mieć na własność nieśmiertelną duszę i miejsce w raju, tęsknota za Bogiem przyszła nagle i wezbrała jak rzeki po śnieżnej zimie. Seminaria dosłownie pękały w szwach, kościoły rosły jak grzyby po deszczu. Mogłem kroić i szyć z zamkniętymi oczami. Praca była dla mnie ucieczką, ratunkiem i wszystkim.

*Siada przy maszynie.*

Nie wiem, czy kto to zrozumie, czy to nie jest tylko puste gadanie. Mam na karku siedemdziesiątkę, zaczynałem jako uczeń w wieku piętnastu lat i czy ja dobre słowo dzisiaj od kogoś usłyszę. Kto dziś da świadectwo mojej prawdzie?

*Zwracając się do manekinów krawieckich.*

Zachodzę do seminarium, żeby przed obłóczynami od alumnów zebrać zamówienia na sutanny, zdjąć miarę, myślę sobie – starczy dwa albo trzy zamówienia, już nie chodzi o pieniądze, ale żeby zajęcie mieć, a na furcie pytają mnie, jakbym z jakiego Marsa spadł albo księżycą: pan w jakiej sprawie?

– Nie jestem żadnym panem, Antoni Glut, mistrz krawiecki – przedstawiam się, bo kpią ze mnie w żywe oczy – który szył ci księżę pierwszą sukienkę, kiedy jeszcze byłeś seminarzystą, a i później też i ile razy nie zliczę. Nawet ostatnio za robotę mi stu złotych nie dopłaciłeś, wciąż jesteś mi dłużny.

A ten mi na bezczelnie: – Powinności to ja mam jedynie względem Boga, a nie ludzi, a o spotkaniu z alumnami trzeba z rektorem rozmawiać.

Idę więc do rektora, też mój dawny klient, pamiętam go doskonale, a jakże, bo z tych samych okolic co ojciec pochodził, drobny, piegowaty chłopczyzna, jak to mówią „cichy i pokornego serca”.

A tam bęćwał z brzuchem jak sagan kartofli, sekretarz osobisty sobą mi przejście zagradza, w drzwiach staje, że rektor zajęty, że ma na głowie

ważniejsze sprawy, że prywaty nie zamierzają tolerować, bo teraz w sklepach albo na sakro shopie się wszystko kupuje.

Nie wiem, skąd go wytrzasnęli, ale bęćwała nie pamiętam, a pamięć mam dobrą. Przekonuję go, że z samym rektorem nieomal na ty jestem i przed laty sutannę mu nie raz szyłem – bo chcę po dobroci sprawę załatwić, nie po złości.

A ten, że tak brzydko powiem, syn nieznaney mi matki i ojca niewiadomego pochodzenia, szydzi: – Co było, a nie jest, diabeł pisze w rejestr.

*Ze złością.*

Takich czasów doczekałem! Sakro shop zastępuje krawca, a może i samego Boga. Tam wszystko jest na sprzedaż. Nie chcę nawet myśleć, kogo zastępuje sex shop i wyznawcy jakiej patronki w nim odprawiają swe obrzędy.

*...która przechodzi w rezygnację.*

Po śmierci Januszka zostałem sam. A później ze śmiercią papieża wszystko zaczęło się załamywać, staczać jak po równi pochyłej. Czeladnicy i uczniowie odchodzili na swoje, wyjeżdżali za granicę, roboty ubywało, zmieniłem lokalizację, trafiłem do tej podłej nory. Jeszcze niby coś szyłem, przerabiałem, reperowałem, ale to była tylko taka gra na zwłokę.

*Rozkłada ręce.*

Sutanna straciła swoje znaczenie, moc i cenę. Liczba seminarzystów też gwałtownie zmalała, co wynikało z zachowania hierarchów i polityki Kościoła. Dobrze, jeśli na roku, na którym przedtem

studiowała blisko setka alumnów, było obecnie dziesięciu.

W sklepach pojawiły się sutanny z Chin, nie powiem, z pewnością uszyte z czegoś, co bardziej przypominało ceratę albo plastik niż prawdziwy materiał, ich jedyną zaletą była cena. Nikt już niczego nie przerabiał, nie cerował, nie czyścił, po prostu wyrzucano starą i kupowano nową.

Jeszcze przychodziłem, otwierałem zakład raczej z przyzwyczajenia, rutyny niż rzeczywistej potrzeby. Żeby nie zwariować.

*Wstaje z nagłą energią zaczyna sprzątać.*

Na co mi to wszystko było? Samotność w zdrowiu i chorobie to jedyny przyrodzony stan człowieka i nic do tego nie ma, że to duże, ludne miasto. Człowiek jest skazany tylko na siebie: kiedy je, śpi, pije wódkę, kiedy cieszy się i płacze, choruje, żeni się czy umiera... Bez złudzeń. Trzeba to zaakceptować i z tym żyć od początku wtedy uniknie się tragedii.

*Wyciąga jakąś złożoną kartkę z kieszeni.*

Ja zostałem skazany na piekło. Diabeł o mnie nie zapomni.

*Czyta z trudem.*

Dnia 1 kwietnia 1942 roku Rachela Zajdeman, córka Mojżesza Zajdemana, panna, powiła dziecko płci męskiej. Ojciec nieznany. Pieczętka i podpis Nison Płotkin położnik, Szpital Żydowski, Lubartowska 53, Lublin.

*Milczenie.*

Adres mniej więcej się zgadza. I data też. Tak.  
Takie życie. A co niby miałbym z tym zrobić?  
A może to fałszywka? A co komu po współczuciu?

*Rzuca się na szyję manekinowi krawieckiemu.*

Same panie mogą zobaczyć. Współczucie?  
Dziad z nich najgorszy, popierduje w kącie i udaje, że go nie ma, żebym go czasem na śmietnik nie wyrzucił. Nie wiem, czym jest wypchany, ale co-raz bardziej mięknie. Niedługo całkiem sflaczeje.

*Szeptem, jak osoba niespełna rozumu zwracając się do manekinów sklepowych.*

Brak im jaj, zdradzę paniom, że to wada moich poduładnych, brak jaj. Żeby zostać mężczyzną, trzeba mieć jednak pewien warsztat i zasób możliwości. To wiele tłumaczy.

A ci tylko spiskują, szepczą za plecami, kiedy się im wydaje, że nie widzę, nie słyszę.

*Chowa się za manekinami krawieckimi, szepcze, inscenizując rozmowę manekinów.*

Mistrz się wymądrza, supermana udaje, a sam jest impotentem! Ha-ha-ha. Dupek.

Kto kogo przeżywa, tak się nazywa! Impotent. Ha-ha-ha. Żeby zrobić sobie Januszką, zdać się musiał na czeladnika. Cierpliwości do swojej mu brakowało, Don Juan z Noworybnej.

*Doskakuje do manekinów, rozbiera ich z sutann, specjalną kredką (czarną do białej części kuli, białą do czarnej) dorysowuje oczy, nos, usta manekinowi z kulą bilardową zamiast głowy tak, by po stronie białej był głupkowato uśmiechnięty, a z drugiej głupkowato ponury.*

Znów robisz pajacu te swoje głupie miny, jakbyś urwał się z bożonarodzeniowej choinki?

*Zamienia ich głowami.*

Jak to mówili w kompanii saperów: pojedli, popili, to do roboty, czas na finał.

*Zaczyna porządkować pracownię, składać materiały.*

Taki cudak przyszedł do mnie wczoraj. Śmieszny i trochę taki nieporadny. Może miał w tym swoje wyrachowanie i sposób na wiarygodność?

*Pokazuje miejsce na środku pracowni.*

Stał tu i się rozglądał a na koniec powiedział: – Mówili mi, że nie masz roboty, ale nie sądziłem, że aż tak źle. Zwykle przesadzają.

*Staje w tym samym miejscu.*

Kręcił głową, pociągał nosem, w końcu spytał – syrop z kocimiętki?

Chyba przejrzał moje zamiary. W jaki sposób się zorientował? Chyba tylko z przeszukania albo podsłuchu. No bo kto może o tym coś wiedzieć?

*Rozjaśnia się, klaszcze w dłonie.*

Wtedy go poznałem. Szczyl, który podyktował mi zobowiązanie do współpracy. I organizował wyjazd do Wiednia dla Januszka. Wyglądał dobrze, chociaż trochę inaczej: zaokrąglił się, przytył, wyłysiał. Nabrał pewności siebie. Ale tak jak kiedyś z mlaskaniem oblizywał wargi. Tylko wtedy nie rzucało się to w oczy tak bardzo jak dzisiaj. Teraz robił to z uśmiechem, jak kot oblizujący się na widok myszki.

*Chichocze.*

Ubrany był drogo i wytwornie: w szyty na miarę garnitur z włoskiej flaneli Fratelli Tallia di Delfino, koszulę od Gucciego i pachniał niebem jak sam archanioł Gabriel. Zagrałem z głupia frant.

*Wymjuje z szafy kanonicki pas.*

– Pan po pas kanonicki na jubileusz proboszcza? – spytałem grzecznie. – Gotowy, ale z ceny nie spuszczę. To ręczna robota, więc musi kosztować. Proszę popatrzeć, końce z frędzelkami długie na trzydzieści centymetrów, od góry zaplecione w kratkę, a dołem puszczone wolno. Oczywiście wszyty sztywnik, by się pas nie załamywał i ładnie układał. Z jednego kawałka jedwabiu bez szturowania, tak jak być powinno, z końca wyprute nitki poprzeczne, trzynaście warkoczyków, skręconych na półtora obrotu, zaplecionych i związanych na przemian co cztery centymetry w supełki, luźne od połowy. Według miary w obwodzie haftki, bo niezawodne – nie pozwoliłem sobie przerwać.

*Układając kupony w szafie.*

Poczekał aż skończyłem. Wyjął z teczki ksero tej metryki ze szpitala z wojny. Wyciągnął rękę. – Moje nazwisko jest na wizytówce, jestem Francisek, syn Bolesława. Tamta kobieta z metryki, która urodziła dziecko w czterdziestym drugim... ha – oblizał wargi – inaczej mówiąc, jesteśmy przyrodnimi braćmi. Nakłada to na nas określony obowiązek: musimy zadbać o imię ojca, oczyścić jego pamięć, przywrócić mu honor i należną cześć. Dobrze, że komuna upadła i się skończyło, ale i wśród funkcjonariuszy MO byli uczciwi ludzie. Chyba w tej sytuacji możemy sobie mówić na ty – trzymał przez chwilę wyciągniętą rękę z kartką przed sobą zanim położył na stoliku, a mnie jakby otworzyło się piekło, jakby serce stanęło w poprzek. – Do



tego wrócimy, kiedy ochłoniesz, to musi być dla ciebie zaskoczenie. Szok.

*Wyciąga spod szafy szpulę z drutem, jakieś urządzenie przypominające elektryczny zamek, montuje wkrętami do futryny drzwi.*

Diabeł przysłał do mnie swojego syna – czy to do czego podobne? I próbuje mi wmówić, że jest moim ojcem. To bliskie absurdu, jakaś kolejna kombinacja ubecji.

*Rozwija szpulę.*

– IPN oczyścił mnie z zarzutów – dodał widząc moje osłupienie. – Pomagałem innym, tobie też próbowałem pomóc. Jestem członkiem resortowej komisji badającej zbrodnie przeciw duchownym, słyszałeś o stowarzyszeniu Obrońców Kościoła, to moja wizytówka, wezwanie i protokół przesłuchania – wyciągał z teczki i kład na stoliku kolejne dokumenty. – Przyznasz się czy nie, w aktach sprawy jest twoje zobowiązanie do współpracy.

*Rozciąga przewody, mocując je plastrem do podłogi.*

Tobie ani zaszkodzi, ani pomoże, ale powinienś stanąć w prawdzie, zrobić coś dobrego dla innych. Trzeba, żebyś wziął na siebie całą odpowiedzialność za tamten dramat sprzed lat: pomówienie, a w konsekwencji, nie tyle samobójczą, ale upozorowaną na samobójczą śmierć kancle-rza diecezjalnego. Bo dzięki twoim zeznaniom zostanie dowiedzione jego męczeństwo i wszczęty proces beatyfikacyjny – jego oczy uśmiechały się przyjaźnie zza połyskujących niebieskimi refleksami okularów, domyślałem się, że wiedział o czym mówi. Był nawet na tyle uprzejmy, że przyniósł

mi protokół przesłuchania, w którym przyznawałem się do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa i brałem na siebie całą winę.

*Zaciera ręce.*

– Może myślisz, że próbuję cię urobić, ale przecież łączy nas braterstwo, więzy krwi, jesteśmy z jednego ojca. I nie próbuj ucieczki czy innych głupich sztuczek – chyba jednak nie za bardzo mi ufał. – Nasi ludzie chodzą za tobą.

*Sprawdza godzinę, szepcze.*

Mamy się spotkać o dziewiątej, to już za dwie godziny. Czekałem tyle lat, już myślałem, że umarł, nigdy go nie spotkam a on przysłał mi swojego syna.

*Klęcząc wznosi ręce do góry.*

Boże, ty widzisz, jak wdzięczność wypełnia moje serce. Jesteś naprawdę i jesteś wielki! Nie poszedł diabeł do piekła, piekło przyjdzie po diabła.

*Rozciąga druty między stolikiem a drzwiami. Zaczyna szeptem, później coraz głośniej*

Diabli diabła nadali, diabeł w piekle się spali, diabła smażyć będziemy, ze skóry go obedrzemy...  
*Obejmuje jedną ręką manekin sklepowy w piersiach, drugą ręką odkręca głowę, powtarza tę czynność z drugim manekinem, głowy odkłada na stół.*

Panie wybaczą! Nie zwrócił skurwysyn uwagi, że byłem saperem w wojsku. W papierach to stoi jak wół. Nie wiedziałem tylko, jak przemycić materiał wybuchowy. Na wypadek, gdyby mnie zechcieli sprawdzić. I wtedy przyszło na mnie olśnienie.

*Wyjmuje z głów manekinów paczuszki obwiązane parafinowanym, brązowym papierem. Całuje głowy manekinów i montuje na swoich miejscach.*

Kochane łyse główki, tatuś jeszcze nikomu nie był tak bardzo wdzięczny.

*Do manekinów krawieckich.*

Semtex. Nie muszę się tłumaczyć, skąd go mam. Jest i tyle. I chociaż wygląda na plastelinę, to ostro daje do wiwatu, szkoda gadać.

*Podłącza do ładunku wyświetlacz z dużymi, pulsującymi czerwonymi diodami.*

Czas na pożegnalne zdjęcie i ostatnią wieczerzę, ostatni toast!!!

Tatuś nikomu nie ufa i wie, co robi.

*Staje na krześle, zdejmuje zegar z kukułką, wyciąga ze środka małpkę, odkręca, wacha, wiesza zegar na swoim miejscu, nakręca.*

Najpierw rodzinne zdjęcie, później po naparsteczku!

*Ustawia maszynę do szycia pośrodku, stawia manekiny sklepowe po obu stronach, z tyłu ustawia manekiny krawieckie, przed tak upozowaną grupą ustawia na statywie aparat z lampą błyskową, biegnie do maszyny, siada na fotelu.*

Proszę o uśmiech, uwaga!

*Błysk flesza. Biegnie, uruchamia samowyzwalacz.*

Jeszcze raz! Wszyscy mówią: serr...

*Błysk flesza. Biegnie, znów uruchamia samowyzwalacz.*

Do trzech razy sztuka!

*Wyciąga z szufladki maszyny do szycia trzy naparstki, stawia na blacie, nalewa. Pokazując na manekiny krawieckie.*

Syrop z kocimiętki. Mądrym na nic, głupi i tak nie zrozumie. Chłopcy za karę nie piją, mają zwyczaj przebierać miarę. Zdradzę paniom wielką tajemnicę – kolejnym ogniwem ewolucji rodzaju ludzkiego będzie nie cyborg, ale człowiek-manekin.

*Wznosi do góry naparstek.*

Za królestwo ludzi-manekinów!

*Kiedy wznosi toast odzywa się kukułka z zegara.*

Każdy ma takie jerychońskie trąby, na jakie zasłużył. Żegnajcie dziewczynki, żegnajcie chłopcy, będzie mi was brakowało.

Ale jak to mówią: nastał dzień sądu. Rozmnożyła się bowiem nieprawość.

*Żegna się z manekinami.*

Biorę tylko metr, naparstek i guzik na pamiątkę.

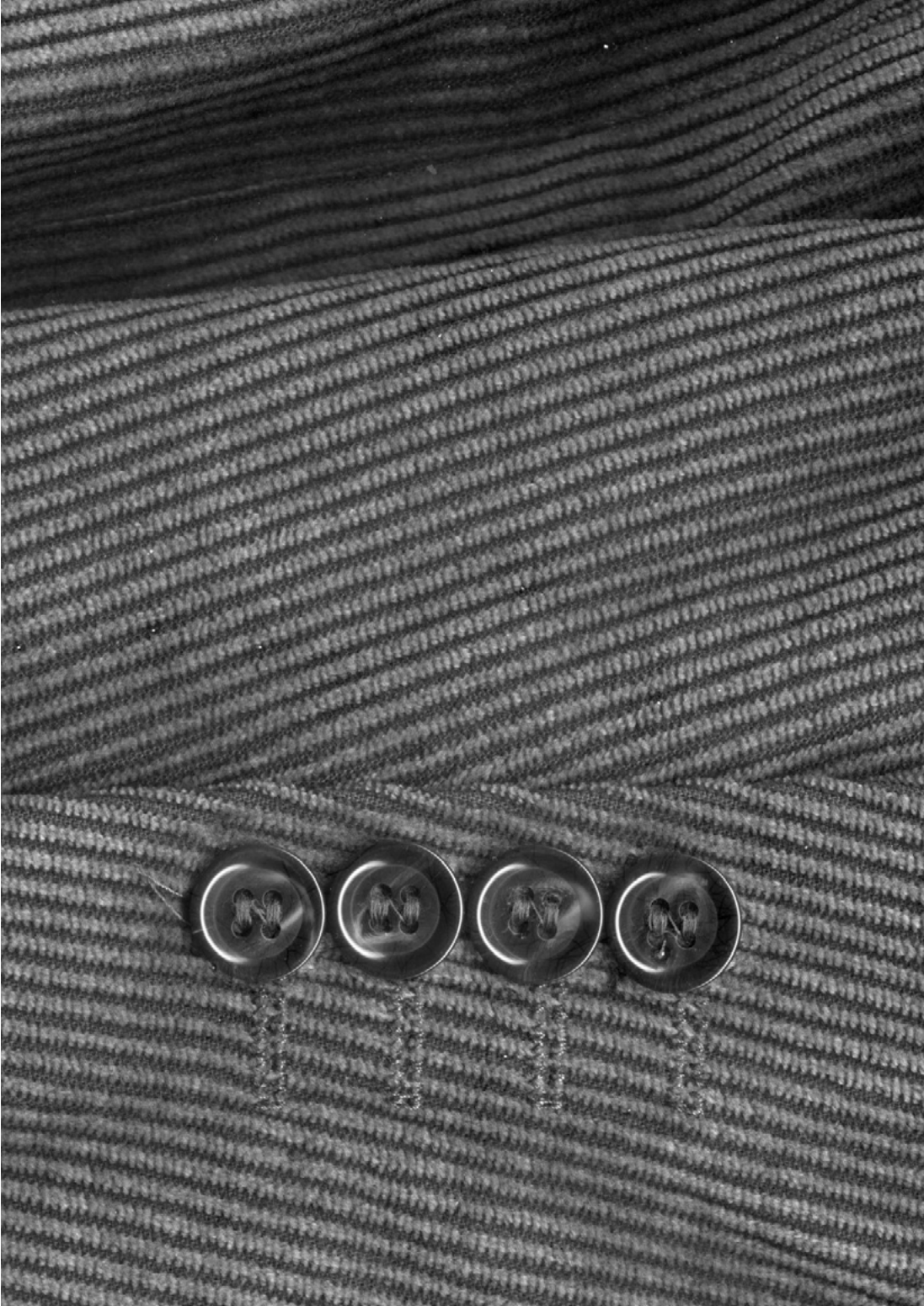
Już nigdy nikt o mnie nie usłyszy.

*Ścisza głos.*

Pieć przyjdzie po diabła, jak tylko poruszy klamkę albo naciśnie dzwonek do drzwi. Nie chcę, by to wyglądało na wielkie bum, nie potrzebuję fajerwerków ani taniej reklamy. Tak to zaplanowałem, żeby wydawało się, że po prostu część kamienicy runęła ze starości.

*Uruchamia wyświetlacz z mrugającymi diodami.*

Do zobaczenia w piekle!





# SPIS TREŚCI

<b>Zasłona ciemności</b>	<b>7</b>
<b>Struktura światła</b>	<b>21</b>
<b>Zasłona pamięci (opcja)</b>	<b>45</b>
<b>Żywioły ognia</b>	<b>53</b>

**WOJCIECH PESTKA** od święta poeta, na co dzień prozaik, scenarzysta, tłumacz: z wykształcenia matematyk, rolnik z przymusu, literat z wyboru. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Laureat Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej im. Bolesława Prusa (2013), Międzynarodowej Nagrody Literackiej Mikołaja Gogola (Ukraina 2013), Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Hryhorija Skoworody (Ukraina 2012), Nagrody Marszałka Województwa Mazowieckiego (2010). Uhonorowany „Medalem 700-lecia Miasta Lublin” (2018), brązowym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2017), medalem „Za Wierność Przesłaniu Poety” (Ukraińska Fundacja Kultury, 2015), odznaczeniem honorowym „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (2013).

## TWÓRCZOŚĆ

WIERSE: *Histeria* (Kraków 2017); *Spacer po linie – Мандрівка ливною* (z Anną Bagrianą, Lwów 2008, Ukraina); *Dziesięć wierszy dla Grosza* (Lublin 2005, tłum. rosyjskie *Стіхи для Грошки*, Moskwa 2013, tłum. ukraińskie *Сніданок з Гамлетом*, Łuck 2016) – nagroda główna w konkursie Oddziału Lubelskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich; *Miasto* (Częstochowa 1976); *Zwykła rozmowa* (Częstochowa 1976).

PROZA: *Diabelska maszyna do szycia* (Kraków 2020); *Gdyby Polacy nie byli Polakami* (Kraków 2019); *Mój mąż frajer* (Kraków 2017); *Долины под снегом (Doliny pod śniegiem*, z Siergiejem Morejno, Moskwa 2015); *Powiedzcie swoim* (Kraków 2013); *Jak mało... ks. Józef Gacki (1805–1876) zarys biografii* (Radom 2012); *Do zobaczenia w piekle* (Warszawa 2009, wyd. drugie – Kraków 2019, tłum. ukraińskie *До*



*побачення в пеклі* Lwów 2012, tłum. rosyjskie *До свидания в аду*, Moskwa 2019, tłum. białoruskie *Да сустрэчы ў пекле*, Mińsk 2020) – nominowana do Nagrody im. J. Mackiewicza za 2010; *Ballada o żyletce* (Warszawa 2009).

TŁUMACZENIA: Wasyl Słapczuk *Księga zapomnienia* (Kraków 2014); Wasyl Słapczuk *Kobieta ze śniegu* (z Iwoną Wasilewską, Lublin 2012); Pawło Szczyrycia *Uobecnienie legendy* – *Напомнення легенди* (z Iwoną Wasilewską, Kijów 2010, Ukraina); Anna Bagriana *Wyśnij mnie* (Częstochowa 2008).

SCENARIUSZE DLA FILMU I TEATRU: *Klecha* (2017, fabularny, na motywach powieści *Powiedzcie swoim* o wydarzeniach radomskich 1976, współautor); *Leo zawodowiec* (2015, dokument), *Na powierzchni lustra. Trzy razy pięć* (Ryga 2012, z Majrą Assare i Siergiejem Morejno, nagranie studyjne).

Copyright by Wojciech Pestka 2020

Ilustracje: archiwum autora

Redakcja i korekta: Barbara Caban

Projekt graficzny: Patrycja Sus-Lutyńska

DTP: Michał P. Wójcik

Druk: Wydawnictwo POLIHYMNIA Sp. z o.o.

ul. Deszczowa 19, 20-832 Lublin

ISBN 978-83-66761-10-0



Oddział Lubelski

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

20-112 Lublin, ul. Złota 3

tel. +48 607 222 193

froncze@wp.pl

ISBN 978-83-66765-19-1



Instytut Literatury

31-112 Kraków, ul. Smoleńsk 16/1

tel. 12 398 43 69

sekretariat@instytutliteratury.eu

www.instytutliteratury.eu

Publikacja powstała dzięki wsparciu finansowemu  
Instytutu Literatury w ramach Tarczy dla Literatów